Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1884. Rok VII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

Na posiedzeniu Wydziału, odbytem dnia 20. Lutego, przewodniczył Dr. Michał Gnoiński, wiceprezes Tow. łowieckiego. Obecni członkowie: Bohdan Hipolit, Eksc. hr. Dzieduszycki Włodzimirz, hr. Dzieduszycki Tadeusz, Rieger Władysław, Dr. Roiński Emanuel, Simon Edward, Zontak Władysław.

Na tem posiedzeniu powzięto następujące uchwały:

1. Delegowano członka Wydziału Wład. Riegera jako reprezentanta Tow. łow. na Walnem Zdromadzeniu Tow. gospodarskiego.
2. Uznano konieczną potrzebę rewizyi ustawy łowieckiej, dawniej już przez Wydział poruszaną, i uproszono hr. Tadeusza Dzieduszyckiego i Dra. Emanuela Roińskiego, iżby się tą sprawą zajęli.
3. Projekt urządzenia wystawy myśliwskiej przyjął Wydział w zasadzie, z powodu jednak braku funduszów odroczono urządzenie jej do czasu korzystnej sposobności, np. jakiejkolwiek innej wystawy w kraju, przy której koszta wystawy myśliwskiej byłyby znacznie mniejsze.
4. Wniosek ks Adama Sapiehy, unormowania wystrzeliwania kóz, przekazany przez Walne Zgromadzenie Wydziałowi, wywołał dłuższą dyskusyę. Eksc. hr. Włodzimirz Dzieduszycki jest w zasadzie przeciwnym udzielaniu pozwolenia wybijania kóz, gdyż, jak doświadczenie wskazuje, tępią je w znacznej liczbie wilki, motylica, kłusownictwo, i niekorzystne wpływy atmosferyczne. Inni członkowie przychylają się do tego zdania, dorzucając swoje uwagi. P. Władysław Rieger formułuje rezultat dyskusyi w następujących wnioskach: 1. Aby w nowej ustawie łowieckiej referent hr. Tadeusz Dzieduszycki na sprawę tę szczególną zwrócił uwagę. 2. Prosić obecnie Wys. c. k. Namiestnictwo, aby o każdym wypadku żądania pozwolenia zawiadamiało Wydział i zasięgało jego opinii. 3. Aby redakcya „Łowca“ publikowała artykuły, pouczające we względzie wystrzeliwania kóz. 4. Aby redakcya „Łowca“ ogłosiła odezwę do delegatów, wzywającą do podnoszenia i ogłaszania wszelkich tego rodzaju nadużyć. Wszystkie te wnioski przyjęto.
5. Wybrano delegata na kongres myśliwski w Wiedniu.
6. Na wniosek Eksc. hr. Włodzimirza Dzieduszyckiego odroczono sprawę zaprowadzenia egzaminów z łowiectwa do czasu, w którym Szkoła lasowa Lwowska lub inna instytucya będzie miała fachowego nauczyciela łowiectwa.
7. Co do bezwzględnego tępienia wydry, uproszono hr. Tadeusza Dzieduszyckiego, aby przy rewizyi ustawy umieścił wydrę między szkodnikami.
8. Przyjęto wniosek Wład. Riegera, aby „Łowiec“ w stałej

rubryce przypominał, jakiej zwierzyny w danym czasie nie wolno strzelać. Drugi wniosek tegoż członka Wydziału, aby „Łowiec“ w stałéj rubryce dawał wskazówki, dotyczące chowu i żywienia zwierzyny, zmodyfikowano, iżby wezwał praktycznych myśliwych do ogłaszania spostrzeżeń swoich i doświadczeń, odnoszących się do karmienia zwierzyny.

Na tem zamknięto posiedzenie.



ZWIERZĘTA ŁOWNE.

WYDRA.

(Głównie według Brehma).

(Dokończenie).

Brehm opowiada: Chinczycy używają wydr do połowu ryb, i u nas układano je już nieraz do tego celu. Oswojona wydra jest bardzo powabnem i miłem stworzeniem. Pana swego zna dobrze i chodzi za nim jak pies. Przyzwyczaja się bardziej do mleka i roślin, jak do mięsa tak, iż wcale ryb nie tyka Wychowywałem wiele wydr i oswajałem je do wysokiego stopnia, niech jednak inni za mnie przemawiają. Pewna dama wyhodowała wydrę mlekiem i chlebem i tak ją obłaskawiła, że biegała za nią, szarpała za suknię, domagając się ułożenia na kolanach. Igrała z swoją panią lub też nader uciesznie sama z sobą, wyszukiwała sobie na ten cel kawałek jakiego futra, przewracała się po niem, kładła na grzbiet, chwytała się za ogon, gryzła przednie swoje łapy i tak długo dokazywała, aż w końcu sen ją zmorzył. Właścicielka mogła z nią robić, co się jej podobało, męczyła ją nieraz karesami, kładła ją na swoją szyję, na grzbiet, twarz kryła w jej futro, brała za tylne łapy i kręciła nią młynka, wszystko to znosiła cierpliwie. Gdy ją od siebie odtrąciła, drapała się na nią, gryzła suknię i nieraz ją rozdzierała. To gryzienie i brudne łapy były istotną plagą, mimo tego jednak chętnie jej pozwalała spać przy sobie. Wzajemne to przywiązanie rosło z wiekiem wydry. Winckell opowiada: Wydra wychowana staraniem ogrodnika, służącego u mojej rodziny, znajdowała się zawsze tylko wśród ludzi. Gdyśmy byli w ogrodzie, przychodziła do nas, wdrapywała się na kolana, kryła się szczególnie chętnie na piersiach i wyzierała główką z zapiętego surduta. Gdy podrosła, jedno gwizdnienie na sposób wydrzy w połączeniu z wołaniem po nadanem jej nazwisku wystarczało, aby ją nawet z jeziora, gdzie nader chętnie pływała, przywabić. Po krótkiej nauce umiała aportować, służyć i pięć lub sześć koziołków wywrócić, czem nas wielce bawiła. Gdy się kiedy dopuściła jakiej nieprzyzwoitości, to największą było dla niej karą, gdy ją wodą skropiono lub oblano, skutkowało to lepiej jak bicie. Najmilszym towarzyszem jej igraszek był jamnik, gdy on w ogrodzie sie pojawił, natychmiast nadbiegała wydra, siadała mu na grzbiecie i jeździła na nim, lub też przewracali się igrając, to pies, to wydra byli na spodzie. Gdy jamnik nie miał ochoty zejść się z swoją przyjaciółką, to przywoływała go ona głośnem gwizdaniem, a on natychmiast do niej biegł.

Układanie wydry do połowu ryb jest wcale proste. Nie dostaje nigdy rybiego mięsa, lecz tylko mleko i chleb. Gdy znacznie podrośnie, podrzuca się jej sztucznie ze skóry wyrobioną rybę i pobudza do igraszki z nią. Następnie rzuca się ową rybę w wodę, a później prawdziwą, nieżywą Tym sposobem wynosi wydra rybę z wody. Nakoniec każe się aportować rybę żywą z naczynia wielkiego, napełnionego wodą. Odtąd wyniesie już ze stawu, jeziora i rzeki, a można ją nawet wyuczyć aportowania zabitych kaczek, wysyłając ją z psem legawym na tego rodzaju polowania. Bywało to już nieraz, że używano wydry na wzór psa jako stróża domowego. Wood opowiada: Pewien myśliwy posiadał wydrę przedziwnie ułożoną. Na zawołanie „Neptun“ odpowiadała natychmiast i pojawiała się. Już w młodości okazywała szczególną roztropność, a z latami nadzwyczajnie się wyuczała i oswajała. Dano jej zupełną swobodę i łowiła ryby, kiedy chciała. Zaopatrywała kuchnię swą zdobyczą i nieraz łowiła przez całą noc. Rano zawsze się pojawiała, a każdy obcy niemało się dziwił, widząc ją śród zgrai różnorodnych psów, z którymi w zgodzie żyła. Sława jej rozchodziła się szeroko i nieraz sąsiedzi wypraszali ją sobie na dni kilka w celu pozyskania ryb.“ — Richardson mówi o innej wydrze, którą oswoił. Towarzyszyła mu wszędzie jak pies, igrając pociesznie. Zbliżywszy się do wody, skakała w nią i szukała. Mimo przywiązania do swego pana, nigdy nie oddawała mu swej zdobyczy, skoro się do niej zbliżał celem odebrania jej, umykała do wody, płynęła ku przeciwnemu brzegowi i pożerała rybę. W domu uganiała po dziedzińcu i ogrodzie, zjadała ślimaki, robactwo, gąsienice, poczwarki itp. W dziwny sposób wyciągała ślimaki z skorupy. W pokoju skakała po krzesłach i oknach, uganiając za muchami, które nader zręcznie łowiła. Z piękną kotką angorską żyła w wielkiej przyjaźni, a gdy ona pewnego dnia była przez psa napastowaną, nadbiegła z pomocą, chwyciła psa za szczękę i tak była rozsrożona, że musiano przemocą ich rozdzielić i psa z pokoju wypędzić.

Winckell podaje: W celu obrzydzenia wydrze ryby najlepiej podrzucać jej gorącą. Goetze opowiada, że wydra strzegła rzeczy swego pana, a na dany znak rzucała się do wody i wyniosła ryby, aportowała kaczki. Wildungen twierdzi, że w Szwecyi używają wydr do napędzania ryb w sieci. Trop wydry podobny do borsuczego, ale mniej zagłębiony z odznaczeniem pletw i włóczącego się ogona po lewej stronie. Śledzić ją można po kale, kościach rybich, woni tranu i zgnilizny.

Rzączyński nazywa wydrę *animal amphibium* z głową psią, uszami bobra, nogami lisa. Nie wierzy, iżby z wody mogła wychodzić zupełnie suchą. Według niego pospolitą jest w Polsce, pospolitszą w Rossyi, najpospolitszą na Litwie. Wspomina, iż Tylkowski nadmienia w swem dziele: *Physica curiosa*, jakoby widział wydrę zupełnie białą.

Haur pisze: Wydra zwierzę sztuczne i złośliwe, sierści jest szaro czarniawej; włosa czarniawo-lśniącego, trwałego, z niej bywają futra przystojne, do oblamowania szat, do wy-

łogów czapek lub na wierzch kaptura i rękawic. Ta bestya przy bagnach, jeziorach i stawach rada biesiaduje, także przy rzekach bystro płynących miewa jamy i doły swoje, gdzie się bawi rybom szkodliwa i wiele tego psuje i wynosi na swój pokarm, nietylko w lecie, ale też i w zimie pod lodem goni ryby wszelkie. Podczas deszczów walnych z swoim wyżej od lądu umyka się gniazdem, poczem się ludzie miarkują i znaczą sobie przyszłą powódź, toż czyni właśnie i bóbr. Rybami żyje wydra, które sztucznie podchodzi i łapa. To zwierzę długo żyje, bawi się w wodzie jak nurek, jednak z powietrza dech do siebie ciągnie i czerstwi się zdrowem powietrzem. Myśliwi gdy wydrę chcą ułowić na pewnej sztucznej łapce, zawieszają rybę na powab, którą gdy chce połknąć, uwiąznie i doczeka łowczego. Sekret pewny: Ma ta bestya tę naturę, że gdzie swój za świeża zapuści gnój, ztamtąd odchodzi, a potem się na to miejsce kilka razy powraca, więc myśliwi mają mieć na to baczenie, aby na tem miejscu prędkie jakie zasadzić sidło, prędko się tak ułowi, pilnując tego. Usmażyć gąbkę morską miękką w maśle, albo rybę zaprawić trucizną i do jamy jej albo przed jamą położyć, snadno i prędko zadechnie jako niepospolity wilk rybny.

Pietruski mówi: Zdolności umysłowe wydry niepospolite. Polskie przysłowie, gdy kto oszukać się nie da: jak zwydrzał kawaler. O ile się ułaskawić i do człowieka przywiązać może, dowodzi wydra Paska. Chcąc tego sam doświadczyć, szczerze sobie życzyłem posiadać chowaną wydrę, lecz zawsze w tym względzie nieszczęśliwy byłem. Trzy wydry miałem sobie darowane, z których dwie zupełnie mnie nie doszły, trzecią zaś cieszyłem się tak krótko, że nawet czasu nie było ciekawych spostrzeżeń robić. I tak ta, która na prośbę Dra Maschka była mi darowaną 22. Września 1840 przez hrabiankę Helenę Tarnowską z Wróblowic, nie doszła mnie wcale z przyczyny, że ją posłaniec w drodze udusił. Drugą miał p. Małachowski w Żurawnie, która jak pies za nim biegała i bardzo do niego była przywiązaną tak, że nawet z tej przyczyny zginęła, gdyż będąc zamknięta w pokoju, zobaczywszy swego pana, z okna pierwszego czy drugiego piętra skoczyła na dół i zabiła się właśnie w chwili, kiedy już menażeryi Podhorodeckiej darowaną była. Trzecią nareszcie dostałem z grzeczności p. Schaffla, dzierżawcy Skolego 4. Lipca 1847, ale i ta krzyż mając złamany, nie żyła tylko od niedzieli do czwartku.

Wydra błotna *(foetorius lutreola)*, mała wydra, norka. Zamieszkuje przeważnie północno-wschodnią Europę, szczególnie Polskę, Rossyę, Inflanty, północno-wschodnią Azyę i średnią Amerykę północną. Długość bez ogona wynosi 19—20″, głowa więcej płaska, nos podłużniejszy. Nos i szczęki białe, uszy czarne, brzuch jasno-brunatny, podgardle siwe, reszta korpusu więcej czarno brunatna jak wydry pospolitej, zresztą do niej we wszystkich przymiotach podobna. Drażniona ma wydawać nieprzyjemną woń. O rui nic nie ma pewnego. Przebywa w małych, nie rwących wodach, szczególnie w bagnach, nie zamarzających, zarosłych. Jamy ma w brzegach, drzewach. Żywi się rakami, rybami, żabami, owadami, jajami żółwi. Bechstein mylnie twierdzi, że nawet gęsiami, kaczkami i t. p. Futro bardzo cenne, mięso prawie niejadalne.

Z powodu wielkiej szkodliwości tępi się wydrę bezwzględnie. Różne są sposoby łowienia, najczęściej z przyczyny jej przebiegłości udaremniane. Rzadko zdarzy się ubić wydrę na zasadzce, gdy bowiem zwietrzy człowieka, nie pojawi się. W zimie jest zasadzka odpowiedniejszą, zwłaszcza gdy się czatuje u przyrębli. Musi jednak czatujący umieścić się pod wiatr. Zwykle łowi się wydry na żelaza, najlepiej denkowe, stawiane z wielką ostrożnością, bardzo czyste, bez odwiatru. Żelazo stawia się w wodzie na podporach, żeby woda na dwa palce wyżej nad niem stała, obróconą sprężyną do brzegu. Przywiązuje się je łańcuchem lub mocnym postronkiem do drzewa albo do pala na brzegu. Łańcuch lub postronek wpuszcza się w rowek i zasypuje ziemią. Pokrywa się też żelazo mchem wodnym. Najlepiej ustawiać żelazo w strumieniu lub rowie, przez które wydra z jednego stawu do drugiego przechodzi. Scieśnia się wtedy ów przechód wbiciem pali po bokach tak, iż wydra przez żelazo przejść musi. Odwietrzając żelazo pociera się je miętkwią lub tłuszczem, do których domięszać należy korzeń kozłkowy, strój bobrowy, kamforę, tłuszcz karpi, strój wydry lub korzeń dzięgielowy. Używa się też kału wydrzego, zmięszanego z utłuczonym korzeniem kozłkowym i białym tranem rybim, lub mięsza się razem wątrobę szczupaka, żółć karpia, jaja raków i kał wydrzy, i tłucze w oczyszczonym moździerzu, a potem pociera tem żelazo. Za ponętę, według Reumana, może służyć źdźbło trzcinowe z liściem, źdźbło smaruje się odwiatrem i przymocowuje do podpór żelaza tak, aby liść był nad wodą. Gdy nie można w wodzie, stawia się żelazo na brzegu, wtedy trzeba użyć odwiatru. Recepta 1. W nowym tygielku roztopić 9 łutów czystego, wieprzowego smalcu, dodać garść korzenia kozłka *(valeriana oficinalis)*, 4 grany bobrowego stroju, 3 grany kamfory, wszystko smażyć na węglach, mięszając dopóki nie będzie żółtym, wtedy przecedzić przez cienkie czyste płótno, zawiązać i przechować w miejscu chłodnem. 2. Zbiera zię tłustość podczas gotowania 4—5 fnt. ważącego karpia, dodać 4 grany bobrowego stroju lub takąż ilość świeżej lub suszonej tłustości, która się zbiera w gruczołkach samca pod kiszką odchodową i smaży się jak wyżej wskazano. 3. Wycierać żelazo, łańcuch i postronek miętą ptasią *(alsina media)*. 4 Garść łajna wydry, ikrę od funtowego karpia, drachmę miałko tłuczonego korzenia rośliny kozłek i 8 łutów białego tranu zmięszać i przechować w suchem miejscu. 5. Wątroba szczupaka, żółć karpia, jaja raka i odchód wydry, utłuczone w czystym moździerzu. Tem smarować żelazo, łańcuch i postronek. 6. Pół garści świeżo suszonego, pokrajanego korzenia dzięgielowego *(angelica)*, 4 grany bobrowego stroju, 3 gr. białej kamfory, usmażyć w 9 łutach świeżego gęsiego lub wieprzowego smalcu jak pod nr. 1. — 7. Worek od zibetu (Zibetkatze), którym się żelazo i łańcuch pociąga, a mały kawałek tej tłustości kładzie się pod denko. Idąc na miejsce posmarować należy odwiatrem ręce i podeszwy, żelazo, łańcuch i postronek wytrzeć czystem płótnem, napuszczonem powyższem odwiatrem. Najważniejszym jest wybór miejscowości, na której się żelazo stawia. Doświadczony myśliwy bada naprzód troskliwie, gdzie wydra zwykle wchodzi i wychodzi, stawia tam żelazo bez witerunku w wodę i łowi więcej wydr, jak inny z najstaranniejszym witerunkiem. Zdarzy się czasem złowić jaką wydrę w więcierzu lub w sieci. Czasem też spotyka się ją na lądzie, ale nie każdy pies idzie za jej tropem, już to z powodu wstrętu do wyziewu wydry, już też lękając się jej zębów. Przyparta wydra jest strasznym przeciwnikiem, staje ona chętnie do walki i zębami kaleczy srodze. Doświadczył tego pewien myśliwy, chwytając prześladowaną przez psa wydrę w chwili, gdy do wody umknąć miała, chwycił ją za ogon, a ona zwinęła się szybko i w jednej chwili odgryzła mu palec u ręki. Co wydra w zęby chwyci, nie wypuści. Na większych jeziorach i stawach poluje się na nią w lekkich łódkach i strzela się ją, gdy wypływa na powierzchnię wody w celu zachwycenia powietrza. Pojawiające się pęcherzyki powietrzne zdradzają jej pochód podwodny

i prowadzą myśliwego. Na głębokich wodach jest taki sposób polowania nieodpowiednim, ponieważ zabita wydra opada na spód i ginie, a gdy na pół zgniła wypłynie, to już jej futro jest wcale niepożyteczne. W rzekach obfitych w wydry można też innego użyć sposobu. Przeciąga się przez rzekę sieć i pędzi wydrę psami. Kilku ludzi ze strzelbami i spisami staje przy sieci, lub idą, gdy można, wraz z psami rzeką i strzelają do wydry lub biorą ją na spisy. Tak polują w Szkocyi Złowiona żywcem wydra świszcze i pryska mocno, broni się zapalczywie, staje się nawet nader groźną dla nieprzezornych psów, często bowiem łamie im zębami kości u nóg. Doświadczone psy umieją wszakże ochronić się od tego niebezpieczeństwa i zręcznie złowić zwierzynę. Przy skonie wydaje wydra głos jęczący i żałośny. W miejscowościach bogatych w wydry są osobni na nie myśliwi, jakoteż osobne psy i sieci, mianowicie w Anglii. Psy są wielkie i małe, pierwsze wyżły kudłate, drugie jamniki. Oba muszą chętnie iść w wodę, nurzać się, być ciętymi. Żywić je trzeba za młodu rybami, nie mięsem, puszczać w ciepłych dniach do wody głodne i rzucać chleb, później kość, zaprawiać je w towarzystwie starych na lisach, borsukach, kunach, kotach, rzucać je do wody. Mając młodą wydrę, uwiązać ją na dwułokciowym łańcuchu i długim powrozie, aby mogła w wodę wskoczyć, gdzie ją psy oszczekują i szarpią, potem wyciągnąć i dać psom do szarpania. Młode psy zaprawiać ze starymi, niech wyszukują w jamach, ostanawiają na lądzie, idą za wydrą do wody i tam ją duszą i wynoszą. Do pomocy psom służą dwojakie sieci, które Winckell obszernie opisuje wraz z sposobem łowienia. U nas się to nie da zastosować, bo mało mamy wydr, my tylko łowimy ją na żelaza, strzelamy do spiącej, z zasadzki lub na lodzie, najczęściej podczas nocy księżycowych. Trzeba do tego cierpliwości i wytrwałości, dobrego ukrycia i wiatru, śrutu nr. 0 lub lotki. Gdy wyjdzie z wody, na suchem ją dopiero strzelać na pewne, najlepiej w głowę, bo zraniona nawet ciężko umknie. Pies tu bardzo pomocny.

O. v. Riesenthal w dziele swojem: „Jagdlexicon, Leipzig 1882“, takie daje wskazówki polowania na wydry. Przy nadzwyczajnej zręczności wydry i jej drapieżności i żarłoczności, z której wynika, że przy bogatym połowie małą tylko część ryby pożera, a resztę pozostawia, nie ma potrzeby innymi dowodami stwierdzać jej szkodliwości dla rybactwa. Niemożliwe jest ono, gdzie wydra swobodnie grasuje, polowanie przeto na nią jest koniecznem a zarazem wypłacającem się, bo piękna, duża skóra dochodzi ceny 20 marek i więcej, a mięso daje smaczną strawę postną. Futro może być wprawdzie użyte w ciągu całego roku, najlepsze jednak jest zimowe. Wyprawia się niejeden myśliwy i marznie potężnie na zasadzce nocnej, nim się ucieszy zdobyczą, a nieraz zniechęcony wyrzeka się zupełnie tego trudu. Jakkolwiek bowiem wydra dosyć statecznie trzyma się swoich dróg, które się znaczą pozostałościami rybiemi, kałem i wonią rybią, to jednak zawsze nasuwa się pytanie, kiedy ona w tych miejscach się pojawia, po trzech czy ośmiu dniach, w dzień czy w nocy? Nie dziw więc, jeśli myśliwy do tego rodzaju łowów się zniechęci. A wreszcie strzał w nocy przy niejasnem świetle księżyca u ocienionego brzegu, do wydry, która z ostrożnością naprzód nos swój wystawia, nim na ląd wyjdzie, wszystko to czyni zasadzkę najniewdzięczniejszym sposobem polowania. Mimo tego jednak myśliwy nie może sobie odmówić tej, lubo nader mozolnej, przyjemności. O wiele bardziej zajmującem jest polowanie z psami, jakie mianowicie w Szkocyi pospolicie się odbywały, a w najnowszych czasach przez znanego myśliwego na wydry, Ewalda Schmidta w Schalksmühle w Westfalii na nowo zostało poruszone. Anglicy układają osobne psy na wydry, wielkości miernego ogara, z średniodługim włosem, ostrymi zębami, roztropnem, wielkiem okiem i przeważnie białawo-brudnej barwy. Używane też bywają inne cięte psy, czego dowodzą wyborne psy E. Schmidta, z których jeden mały wypędza wydrę z kryjówki. Za działaniem psów Schmidta przemawiają liczby. W przeciągu 2½ lat dostarczyły mu przeszło 80 wydr, i wytępił on je w całej okolicy zupełnie. Schmidt buszuje za wydrą wszędzie z swymi psami, które idą natychmiast za jej tropem i gonią tak długo, aż dostanie się ona na strzał lub na widły. Że to są łowy szalone, w których pies ani zimnej wody, ani zanurzenia się, ani cięcia gotowego do obrony nieprzyjaciela się nie lęka, jest rzeczą pewną, niemniej też wymagają zręczności myśliwego.

W jednem z czasopism myśliwskich niemieckich opowiada L. Frei: Do najpożądańszych przedmiotów łowieckich należy obecnie wydra. Z jednej strony jest tego przyczyną potrzeba tępienia zwierzęcia tyle szkodliwego dla rybołowstwa postępowego, z drugiej niezwykła przyjemność polowania na lądzie i wodzie, wreszcie futro równie cenne w zimie i w lecie. Z tych powodów stałem się ja także zaciekłym prześladowcą wydry, i w spółce z dwoma towarzyszami zabiłem 107 sztuk w okolicy górnej Fuldy. Właściwym terenem pomyślnych łowów na wydry są większe rzeki, ale w ich wypływach, gdy oba ich brzegi mogą być strzeżone. Czy taka rzeka jest płytszą lub głębszą, nie wiele na tem zależy, byle była przeźroczystą. Nawidza bardzo chętnie wydra dopływy większych wód, jeśli w nich znajdują się pstrągi, najpożądańszy żer dla wydry. Do takich łowów potrzeba przynajmniej dwóch doświadczonych i dobrze uzbrojonych myśliwych, którym towarzyszyć powinien starannie do tego celu ułożony pies. Przymiotami myśliwego na wydry są: najbaczniejsza uwaga, chłodna krew i pewność strzału lub uderzenia. Przy płytkiej wodzie używa się strzelby, przy głębszej wideł, zakończonych raczej ostrymi nożami jak kolcami. Widły utwierdzają się na 8 do 10 stóp długiej, nie uginającej się tyce. Przy strzelaniu do wydry niech myśliwy ma na względzie łamanie się promieni światła, jeżeli nie chce pudłować. Główną rolę przy polowaniu na wydry gra pies. Bywają dobre psy na wydry między wyżłami i jamnikami, do szukania jednak wydry lepszy legawiec, ponieważ staje do nich, jak do każdej innej zwierzyny, gdy przeciwnie jamnik głosem płoszy wydrę. Zaprzeczam stanowczo, iżby pies w wodzie mógł oznaczyć, w którym kierunku wydra popłynęła. Gdzie ona w nocy łowiła ryby, o tem powinien myśliwy wiedzieć, a wskazówką w tym względzie dla niego pozostawiony kał. Twardy oznacza kierunek pod wodę, płynny, galaretowaty z wodą, ostatni gdy się pojawi, to już niezawodnie wydra nie łowi rybę, lecz znajduje się w schronisku. Na dowód przytoczę dwa wypadki z własnego doświadczenia. Dnia 1. Października 1882 znalazłem na kamieniu u rzeki Ulstry świeży kał wydry dwukrotny, twardy, wniosłem stąd, że dwie wydry pod wodę poszły. Począłem szukać i po kwadransie ubiłem samca ważącego 21 funtów. Ułożył się on w zarośli przy rzece, skąd pies wypędził go do wody i w niej go zabiłem, gdy się wynurzył w celu zachwycenia powietrza; drugiej już nie mogłem prześladować. Na trzeci dzień doniesiono mi, że znaleziono tamże płynny kał wydry, poszedłem więc z prądem wody. Wydra opuściła główną rzekę i łowiła w jednym z jej dopływów, gdzie znalazłem twardy kał. Pies wypędził z pod brzegu starą samicę. Angielskie psy wolno idą za tropem i porzucają go, niemieckie idą szybko i pewnie, pierwsze więc nie bardzo godne

polecenia. Już w najdawniejszych ustawach było tępienie wydry z naciskiem zalecone i udzielano w tym względzie pomocy łowcom. W dawnych wiekach zaliczano według Jaekla połów wydr do rybołowstwa, ponieważ one głównie rybakom wyrządzały szkodę. Byli wszakże specyalni łowcy wydr, ale podlegali naczelnemu kierunkowi rybołowstwa i mniejszego używali poważania, jak inni myśliwi. Jako wykup płacono im nieznaczne sumy, mieli jednak prawo korzystać z futra i mięsa. Mięso wysoko było niegdyś cenione w Bawaryi i Szwabii, używano go po klasztorach jako wytwornej potrawy postnej i płacono funt po guldenie, gdy dziś tam, gdzie ono jeszcze jest cenione, ledwo trzecią część tej summy się płaci, najpobożniejsi bowiem nawet, uważający wydrę za rybę, nie znajdują smaku w trudnem do strawienia mięsie wydrzem, który chyba wysoka sztuka kulinarna nadać zdoła. Najlepiej podobno Kartuzi umieją przyprawiać to mięso. Nawet w arcykatolickiej Bawaryi uważane jest mięso wydrze jako bez wartości i rozdawane bywa ubogim. — O wiele więcej wartości ma futro. Najcenniejsze są futra amerykańskie. W Niemczech płaci się skórka od 20 do 60 marek. Według Lomera łowi się w średniej Europie rocznie około 12.000 wydr w wartości 135.000 marek. Większa ilość nie przychodzi na nasze targi z tego powodu, ponieważ futro wydrze u wszystkich północnych narodów bardzo jest poszukiwane. Wydra i ryś, jak twierdzi Raade, uchodzą u wszystkich mongolskich narodów jako nader cenne futra i płacone bywają znacznie drożej, jak przez europejskich handlarzy. Za piękną wydrę płacą mongołowie wysokich stepów 20 do 25 rs., a więc tyle, ile za najlepszego sobola. Używa się futra wydry do kadzenia, na pokrowce, do lamowania futer i ubrań zimowych, w południowych Niemczech na czapki, jakie mężczyźni i kobiety noszą w Hessyi, Bawaryi i Szwabii, w północnych Niemczech na kołnierze, w Chinach do okładania czapek, w Kamczatce do opakowania kosztownych futer sobolich w mniemaniu, że futro wydrze wciąga w siebie wszelką wilgoć i sobole w pięknym stanie utrzymuje. Z włosów ogona wyrabiane bywają pendzle malarskie, a z puchu piękne i trwałe kapelusze. Niesłusznie uważane bywają futra wydr z małych rzek i strumieni za lepsze, jak z wielkich rzek i jezior. Dawniej używano też krwi, tłuszczu i niektórych wnętrzności wydry jako leków. Wydra znaną była już Grekom i Rzymianom, którzy o niej wiele bajek rozpowszechnili, tak n. p. twierdzono, że ona nawet człowieka opada, a chwyciwszy zębami nie puści, aż posłyszy łamanie się kości. Inne też o niej głoszono gadki.

Z DZIEWICZEGO KRAJU.

PRZEZ

Władysława Czaplickiego.

(Dokończenie.)

Pomijając kaczki, gęsi, żurawie, czaple i łabędzie, winienem nadmienić, że na wszystkie inne rodzaje ptactwa, nie polują wcale i do nich nawet nie strzelają, a łowią je na inne rozmaite sposoby. Jest to łatwe do wytłumaczenia. Sybiracy w ogóle, nigdy nie strzelają w lot i tylko przy oparciu gwintówki na swoich osobno na ten cel urządzonych widełkach. Przeważnie zastawiają na nie rozmaitego rodzaju sidła i łapki, albo też łowią je na siatki. Na głuszce i cietrzewie nastawiają łapki, raczej kopią stosownej wielkości dołki, wrzucają w nie drobne kamyczki, które ptaki te głównie podczas toku lubią tak bardzo, a po nad tym dołkiem ustawiają cegłę, lub kamień większy z bardzo zgrabnie urządzonym i u nas powszechnie znanym samotrzaskiem. Takich łapek ustawiają 10, 20 do 50 sztuk i więcej, a co dzień lub dwa dni zaglądają tam i wyjmują. Muszą tym sposobem łowić wiele tych ptaków, gdy n. p. cietrzew kosztuje 10 a głuszec 15 kopijek. Należy tu jednak nadmienić, że lisy często płatają figle myśliwym, którzy przybywszy do tak zwanych „łowuszek“, zastają tylko pierze. Na początku lata zaś gdy młode kaczątka i gąsiątka nie są jeszcze zdolne do lotu, Sybiracy w kilkanaście lub kilkadziesiąt czółen wdzierają się w szuwar i biedne te stworzenia biją kijami i tym sposobem po kilkaset sztuk przywożą do domów.

X. Wody Syberyi i ryby tudzież tychże łowienie.

Syberya, jak w ogóle każdy dziewiczy kraj, ląd stały, gdzie nie widać jeszcze śladów ni stopy, ni ręki ludzkiej, ani tak zwanej cywilizacyi, gdzie jeszcze lasy nietknięte siekierą, gdzie jeszcze ziemia nie jest pokrajana licznymi kanały spławnymi, gdzie w ogóle nikt nie zmusza przyrody odbywać inaczej swe funkcye, jak w stanie naturalnym i regularnie, bogata jest bardzo w jeziora i rzeki. Nie myślę tu wcale bliżej opisywać rzeki, ich wypływ i ujście, geografia bowiem nie jest celem niniejszej pracy. Winienem jednak nadmienić, że rzeki tego kraju w porównaniu z europejskiemi, a głównie z zachodem Europy, są rzeczywiście olbrzymie. Z sybirskich rzek znam tylko niewiele, ale i te są zaprawdę olbrzymie. Kąpałem się nawet w Tobolu, Irtyszu, Obie, Toniu, Kimczuku, Abakanie, Tabie i Jenisieju. Z wyjątkiem Kiemczuku i Tomy, każda z tych rzek jest olbrzymia i z brzegu jednego nie widać drugiego, a nawetpłynąc Irtyszem, Obu lub Jenisejem, nie widać dokładnie brzegów ze środka, widać tylko na prawo i lewo dwa kabłąki wody, brzegów można się chyba tylko domyśleć, a osobliwie podczas trzech każdego lata wylewów, które odbywają się tak regularnie, że nikt nagłem wezbraniem wody nie może być niespodzianie zaskoczony. Pierwszy wylew przypada zaraz przy pierwszem stopieniu śniegów, drugi wylew tak zwany ziemny, t. j. gdy słońce ogrzewając już silniej rozmarza ziemię, a trzeci i ostatni, tak zwany „tajożnyj“ t. j. gdy topnieje śnieg w tajgach. Olbrzymie masy tych wód mieszczą w swojem łonie niezliczone miljony wybornych ryb. Nie posiadają one wprawdzie żab, raków i żółwi, natomiast jednak wyposażyła je przyroda w doskonałe ryby tak bogato, że dwóch ludzi ułowi lekko nieraz i przeszło 20 pudów ryb w ciągu jednego dnia. Przed wszystkiemi innemi otrzymują pierwszeństwo: sterlety i jesiotry, następnie nalimy, jerki, malsumy, nietmy i karpie, szczupaków i karasiów prawie nikt nie jada. Sterlety i jesiotry płaci się po 12 do 13 kop. za funt. Prócz dopiero wymienionych ryb, jest jeszcze bardzo wiele innych

rodzajów, nie pamiętam jednak ich nazwy. W Syberyi łowią ryby na siecie, niewody, wędki, kosze, tudzież na tak zwane „sokmoły“, nakoniec po każdem wystąpieniu rzek z swoich łożysk. Pierwsze cztery sposoby wszystkim znane są dobrze, pozostaje mi więc do opisania chyba tylko dwa następne sposoby, a mianowicie „sokmoły“. Otóż ten sposób łowienia ryb w następujący odbywa się sposób: Przedewszystkiem winienem podnieść, że między Sybirakami istnieje solidarność niezrównana i godna naśladowania. Jeżeli tylko potrzeba jest współdziałania większej liczby obywateli, albo wszystkich razem, można być pewnym, że nikt nie wymówi się od tego. Stąd też pochodzą ich bogactwo, ich siła i chociaż licha, ale zawsze autonomia, jaką posiadają. Otóż „sokmoły“ nie tyle są kosztowne, ale wymagają mozolnej a czasem i kosztownej pracy. Sokmoły urządzają się w sposób następujący i zawsze tylko w chwili gdy opadną wezbrane wody śnieżne, ziemne albo tajeżne, najczęściej zaś już po opadnięciu wód tajeznych. Wyszukuje się wówczas miejsce najpłytsze, a w każdym razie takie, ażeby na całej przestrzeni szerokości wody można zgruntować. Po wyszukaniu takiego miejsca wbijają w szersz całej rzeki czy to mniejszej lub większej, żerdkę obok żerdki, a tu i owdzie dla wzmocnienia całości pale w ten sposób, że pomiędzy te żerdki i pale, małemi, wąskiemi szparami przepływa woda i nie jest tamowana tak mocno, ażeby zupełną znalazła zaporę, a przynajmniej nigdy taką, ażeby dla przepływu obalała lub przerywała ten improwizowany płot rzeczny. Oprócz tego u góry i u dołu płot ten spajają cienkie listwy podpierane wyskakującymi przed nie palami. Pomiędzy te żerdki, t. j. w szpary między temi żerdkami utworzone, mieści się chyba mała tylko rybka, większe zaś znajdując taką zaporę, szukają sobie miejsca i na wszystkie kręcą się strony, na powierchni zaś wody pływają korki przymocowane sznurkami silnymi do żerdek, od korka tuż prawie przy samych żerdkach wisi na silnym sznurze nadzwyczaj ostry haczyk, jak u wędki. Na te haczyki tylko większa zaczepia się ryba. Czy ryba głową, czy brzuszkiem, czy ogonem dotknie haczyka, już jest schwytana, a im więcej szamocze się, zachacza się tem silniej. Tym sposobem żadna większa ryba nie przepłynie płotu tego i tym sposobem tylko wielkie łowią ryby i łowią ich wiele. Drugi sposób t. j. po opadnięciu wody bardzo jest pospolity. Oto gdy woda zaczyna opadać, Sybiracy znając miejsca najgłębszego spływu z zalanego wodą lądu, wjeżdżają tam na czółnach i zakładają niewody, rozumie się, że wszystka ryba im wpływa do niewodu i bywa wyciągana na wierzch, a gdy woda opadła już do tego stopnia, że jest jej już niewiele, robią zastawy i ani jedna ryba, która z przypływem wody dostała się na ląd, nie może wymknąć się do rzeki i wówczas mają Sybiracy połów obfity, bogaty, bo przynosi im setki a czasami i tysiące pudów ułowionej ryby, którą po części gotują za świeża, częścią zaś solą i mrożą po lodowniach, albo też solą i wędzą. Sybiracy w ogóle nadzwyczaj są przemyślni, umieją korzystać i korzystają z wszystkiego na razie, bez zwłoki, jedni drugim pomocną podają dłoń, nikt nie usuwa się ani od pomocy, ani od udziału, ani od pracy. We wszystkiem idą solidarnie ręka w rękę. U zamożniejszych Syberyi mieszkańców wybornie przyrządzają ryby, a między temi najdoskonalej tak zwane pierogi z rybą, n. p. ze sterletą albo z jesiotrem. Jestto właściwie nie pieróg, ale doskonale przyrządzona ryba w pasztecie, rozpływająca się w ustach. Ciasto tłuste, kruche, smak ciasta przesiąkłego i masłem i rybą niezrównany. Jest gatunek ryb (nie pamiętam ich nazwiska), które zamarznięte krają w cienkie talarki i spożywają surowo. Widziałem jednak dzieci np. dwuletnie, którym nietylko surowe, ale żywe dawano ryby. Gdy dziecię odgryzało główkę niewielkiej rybki, a rybka biedna jeszcze trzepotała ogonkiem, przejęty zgrozą zawołałem do matki, że dziecię może zachorować śmiertelnie, kobieta zaś trzymająca dziecię na rękach, odpowiedziała mi krótko: „Niczewo! Ruskomu czełowieku nie budiet niczewo! My wże tak prywykli!“ (Nic! Ruskiemu człowiekowi nie stanie się nic. Myśmy już tak przyzwyczajeni!)

Mniemam, że będzie bardzo stosownem, jeżeli na tem miejscu nadmienię jeszcze o specyalnie „inorodcom“ tylko właściwym sposobie łowienia ryb masami. Należy tu dodać, że brzoza i czeremcha wielką u nich odgrywa rolę. Z brzozy wyrabiają łuki, strzały, wiosła i t. d., z kory brzozowej czółna itp. Z czeremchy mają owoce, w całej Syberyi ulubione tak bardzo, a nadto czeremcha, drzewo bardzo łykowate, nadaje się do wielu rzeczy, a między innemi do wyrobów plecionych Inorodcy łowią ryby na sposób dwojaki: na tak zwane „mordy“ albo na niewody. Połów na „mordy“ odbywa się w sposób podobny do opisanych powyżej „sokmołów“, przy połowie bowiem na „mordy“ także zastawiają wędki, ale zamiast haków, na które zaczepiają się ryby, znajduje się w pośrodku zastawy wielki, z czeremchy upleciony kosz z małym coraz więcej rozszerzającym się otworem. Ryby chcąc wydostać się po za tę przeszkodę, znalazłszy ten otwór, wciskają się do niego, ale niestety już nie mogą wypłynąć z powrotem. Niewodów zaś już tylko na wielkich używają rzekach i niewód taki, czyli wyraźnie mówiąc gruba siatka, miewa czasami dwa do czterech sążni wysokości a 300 do 500 sążni długości. Na brzegu kilku lub kilkunastu pozostaje ludzi i gdy ci jedni trzymają koniec, wsiada do łódki obok wioślarzy jeden tylko człowiek, który w miarę powolnego lub szybkiego posuwania się łódki, upuszcza a raczej częściowo wyrzuca i zatapia niewód. Spód niewodu tonie tem łatwiej, gdy u spodu niemal miejsce koło miejsca umocowane są kamienie owinięte w korę brzozową. Te kamienie nazywają Ostyacy po swojemu „kibassy“, u wierzchu zaś kawałki kory z topoli utrzymują niewód na powierzchni wody i te kawałki kory nazywają „napławie.“ W tej siatce, czyli w tem niewodzie, w samym środku, znajduje się olbrzymia siatkowa „morda“ zwana „matnią“, z której ryba może wydobyć się chyba z wielką tylko trudnością. Gdy cały już wyrzucono niewód, łódź z drugim końcem niewodu, wielkie zataczając koło, drugą stroną wraca do brzegu, gdzie po wylądowaniu co prędzej wyciągają niewód. Czasami na jeden raz złowią tak wielką masę ryb, że kilku ludzi nie może „matni“ wyciągnąć na brzeg. Gdy w „mordzie“ łowią się po największej części małe tylko ryby, to w niewodzie a raczej w „matni“ niewodu, znajdują się przeważnie wielkie ryby, a między temi i morskie, jak np. serki, moksuny i sterlety. Te trzy gatunki ryb tudzież tamtejszy jesiotr, zaliczają się do najlepszych. Serki zaczynają się pojawiać w jesieni, gdy pierwsze ukazują się kry, moksuny nieco później. Serki mierzą zwyczajnie łokieć długości a 3 cale szerokości; moksunów długość ta sama, ale grubość 6 cali, a ponieważ między serkami jak między moksunami nie ma mniejszych lub większych gatunków, bo zdaje się że mniejsze nie opuszczają morza, większych zaś niema wcale, spowodowało to Sybiraków do wynalezienia oryginalnego sposobu łowienia tych ryb. Zaledwie pierwsze okażą się serki, rozpoczyna się na nie połów. Na serki osobną, cienką wyrabiają siatkę, zupełnie do niewodu podobną, z tą

tylką różnicą, że nie ma w niej tak zwanej „matni“, a tylko „kibasy“ i „napławie.“ Ostyak wsiada do łódki i spuszczając za sobą siatkę do wody, z jednym końcem bardzo szybko w rozmaite płynie zygzaki, esy i floresy. Oczka w siatce są tak dokładnie wymierzone, że serki płynąc całą masą z morza do rzeki, wikłają się w siatkę i gdy wsadzą głowę, już nie mogą jej wyjąć. Napławie zaczyna drgać, Ostyak podpływa pod to miejsce i wyciąga rybę. Tym sposobem łowią i moksuny z tą różnicą, że siatka nieco grubsza a oczka większe obliczone na objętość moksuna. Tych ryb łowią ogromnemi masami tak w chwili gdy wpływają do rzek, jak niemniej gdy wracają do morza. Oprócz wyżej opisanych sposobów łowią jeszcze ryby zaraz t. j. w 5 lub 10 godzin po pierwszem zamarznięciu rzeki, a raczej po zatrzymaniu się kry. Wówczas cała ludność co tchu spieszy na rzekę, z narzędziem tak zwanym „pysznia“. Jest to ciężki kilof na łokieć długości, osadzony na sążnistym drągu Tą „pysznią“ próbują lód, jeżeli nie przebija go na wskroś od razu, może być pewnym, że tam nie załamie się lód, choćby stanął tam i z koniem. Tam wyszukują głębie, gdy znajdą miejsce dogodne, każdy osobny dla siebie wybija „pysznią“ wyrąb i przy pomocy najmniej 4 ludzi wkłada olbrzymie już z „latnika“ (łozina) uplecione mordy czworograniaste z ścianami i umocowują je czterma grubemi żerdkami wbitemi głęboko w dno rzeki Te „mordy“ to niżej, to wyżej, ale jedne obok drugich ustawiają i Sybiracy w ten sposób, iż cała szerokość rzeki zastawiona jest niemi całkowicie. Chociaż jedno i to samo czynią w jednym i tym samym czasie, wszystkie wioski łowią tym sposobem tysiące ryb, a w tym czasie najwięcej serek i moksunów. Mordy te wydobywają tylko raz na dobę, a z mordy wydobywają ryby hakami zwanemi „bagor“ i zakładają napowrót w rzekę. Taki połów trwa 14 do 20 dni. Oprócz tego sposobu, używają osobliwie na jesiotry i sterlety jeszcze jednego, a mianowicie rąbią wyrąb, wkładają do niego pień drzewa z resztkami poobcinanych korzeni. Kamień wielki, na długim wiszący sznurze, głęboko zanurza pień. Do każdego korzenia przymocowany jest gruby, silny sznur, z hakami ostrymi jak brzytwa, te sznury jednak z hakami, podtrzymywane przez „napławie“, zanurzają się w wodzie tylko tak głęboko, jak tego wymaga potrzeba, a jest ich tak wiele, że ryby przepływające pomiędzy te sznury, muszą koniecznie zaczepić się na haku, a hak jest tak ostry i tak urządzony w kształcie pół kotwicy, że im więcej szamocze się ryba, tem silniej wbija się na hak. Oto mniej więcej wszystkie sposoby, jakimi Ostyacy, Tunguzy i Juracy i ogóle wszyscy Sybiracy łowią ryby w lecie i w zimie.

„NA PODCHODNEM“.

OPISAŁ

Aleksander Przedrzymirski.

Rycerskie ćwiczenia, jakim oddawali się nasi przodkowie, coraz bardziej wychodzą z użycia. Owe królewskie łowy, podobne do wypraw wojennych, trwające po kilka miesięcy, na których potrzeba było potykać się nieraz z rozjuszonym odyńcem, niedźwiedziem lub żubrem, już nie istnieją, znamy je ledwie z opowiadań. Zniknęły już owe dziewicze puszcze, a z niemi dawna mnogość grubego zwierza, wobec cywilizacyi znaczącej toporem na odwiecznych praojcach lasów ślady tryumfalnego swego pochodu.

Z odwiecznych siedlisk pierzchły dryady,
Gdy nowe nastały czasy,
Trwożna zwierzyna pierzchła w ich ślady,
Rzuciła ojczyste lasy.
Już tu nie zabrzmi ogarów granie,
Ni hucznych łowów głos miły,
Dziś miasto strzałów siekier pukanie,
A zamiast trąbki zgrzyt piły.

Dziś nie mamy pola do takich popisów, jak nasi ojcowie. Oni posiadali broń pierwotną, lecz mieli dużo lasów i zwierza, dzisiaj im więcej broń się udoskonala, tem rzadsze lasy i zwierzyna, a przyjdzie może czas, gdy broń stanie na punkcie kulminacyjnym swego rozwoju, nie będzie jej natenczas do czego użyć.

My zniewieściali potomkowie wielkich ojców nie lubimy takich polowań, gdzie to potrzeba oko w oko potykać się z rozjuszonym zwierzem i nieraz własnych nastawić piersi, my dzisiaj polujemy inaczej, z myśliwskimi stołkami, z krytemi stanowiskami i z licznemi innemi wygodami. Polowania nasze raczej rzezią, nie rycerskiem ćwiczeniem nazwaćby można. Dziś gdy polowanie z chartami i ogarami ledwie z tradycyi jest znane, istnieją u nas właściwie tylko dwa rodzaje polowania, mianowicie z pogonką i z wyżłem. Nie wspomnę o owych karkołomnych angielskich polowaniach, które jak egzotyczne rośliny tu i owdzie w naszym kraju słabe zapuściły korzenie. Zdaje mi się, że nie potrzebuję udowodniać, czem jest właściwie polowanie z pogonką. Polowanie z wyżłem o wiele jest od pierwszego szlachetniejszem, więcej u myśliwego wymaga zręczności, więcej zwierzynie nastręcza sposobów ocalenia, więc tem samem godniejszem jest prawdziwego myśliwego. Istnieje jednak jeszcze jeden rodzaj polowania, acz mocno zaniedbanego, które wcale rzezią nazwanem być nie może, które myśliwemu znacznie więcej sprawia wzruszeń jak inne, które wielu wymaga warunków, by pomyślne przyniosło rezultaty. Polowanie na upatrzonego jest tą zabawą godną prawdziwego łowca. Mógłby mi kto zarzucić, że strzelanie nieruchomej zwierzyny nie jest wcale sztuką, lecz czyż to tak łatwo zbliżyć się na strzał do ptaka lub zwierza? Podczas gdy myśliwy z pogonką lub wyżłem powraca zwykle do domu obarczony zwierzyną, myśliwy podchodzący straci nieraz kilka dni daremnie. Różne tego przyczyny, będę się starał je wyjaśnić. Przedewszystkiem musi mieć taki myśliwy cel widoczny, niedostępne dla niego są w trawach i zbożach ukrywające się ptaki, niedostępnem w gąszczach leśnych ukrywające się zwierzę. Jest to polowanie niewdzięczne, wymagające najwięcej trudów, lecz sprawiające najżywsze wzruszenie, jest to polowanie zupełnie odrębne, ciągle przedstawiające się myśliwemu w nowej postaci i wymagające długoletniej wprawy i doświadczenia. Jest pewien urok w tem błądzeniu po polach i gęstwinach leśnych, w miarę jak zwierz pomyka,

potężnieje w myśliwym namiętność, a jaki tryumf, gdy ostrożny ptak czy zwierzę czworonożne lęgnie pod celnym strzałem. Polowanie takie nie jest łatwe, wymaga dokładnej znajomości natury zwierzyny, na którą poluje myśliwy, a dając mu sposobność przypatrzenia się przyrodzie w samem jej działaniu, żąda ciągłych badań, nieustannej czujności, przebiegłości, zimnej krwi i doświadczenia, wymaga, by myśliwy rozumiał głosy przyrody i umiał czytać z otwartej jej księgi, by mu wystarczyły najdrobniejsze nawet wskazówki, na które inny człowiek nie zwróciłby uwagi, a które powinny być dla niego bitą drogą prowadzącą do siedlisk zwierzyny. Słowem myśliwy taki powinien prawie zamienić się w niewidzialnego ducha, stąpającego bez szelestu po kruchych pod nogami gałęziach, powinien w otwartem polu zastosować się kolorem ubrania do ogólnej barwy otoczenia, korzystać z najmniejszej sprzyjającej mu okoliczności i umieć należycie ją wyzyskać, być dla zwierzyny niewidzialnym nawet tam, gdzie żadnych do zakrycia siebie nie ma przedmiotów. Z lotu ptaków lub biegu zwierza wnioskuje, gdzie zwierzyna się zatrzyma, również wiedzieć powinien, w jakiem miejscu w różnych dnia porach zwierzynę zastanie. Myśliwy z pogonką stoi wygodnie na stanowisku, myśliwy z wyżłem kroczy za psem powolnie, pies szuka, wystawia i aportuje, myśliwy zaś podchodzący musi sobie sam zastąpić wyżła. Ilu to rodzajów podejścia musi on używać? Znaną jest ostrożność niektórych ptaków i zwierząt czworonożnych, jak n. p dropi, dzikich gęsi, kozic, lisów i t. d., a myśliwy taki znaleść musi sposób na sposób, zdradę na zdradę, aby dopiąć zamierzonego celu. A ileż to razy czeka go gorzkie rozczarowanie! Przypuśćmy naprzykład, że ujrzał stadko kaczek na odkrytem jeziorku, na mniejszą odległość, jak sto pięćdziesiąt kroków, zbliżyć się niepodobna, bo ostrożne ptaki wyciągnęły szyjki i przypatrują się bacznie myśliwemu, nie pozostaje nic innego, jak położywszy się pełznąć ku zwierzynie, korzystając z każdego bodiaka, z każdego źdźbła, z każdej grudki ziemi, mogących go zakryć przed czujnem okiem ptaków. A ileż to razy po półgodzinnem, a nawet dłuższem takiem czołganiu, najmniejszy niebaczny ruch psuje całe polowanie, ileż to razy zdarzy się, że myśliwy przyczołgał się już na strzał do zwierzyny, lecz strzelać nie może, bo ta patrząc na niego nieruchomie, gotowa po najmniejszym podejrzanym ruchu ulecieć i pozbawić owoców prawdziwie krwawego trudu. Zwyczajną to rzeczą u myśliwego podchodzącego kroczyć pół mili lub dalej w celu obejścia ostrożnych ptaków, stąpać boso po cierniach lub ostrych kamieniach, czołgać się w letnim skwarze kilkaset kroków, lub ziębnąć godzinami za krzakiem wśród przenikającego kapuśniaczka oczekując, aż się zwierzyna na strzał przybliży.

„Łatwowierna zwierzyna, którą znali nasi ojcowie, już nie istnieje“, powiada jeden z francuskich pisarzy. Z wzmaganiem się ostrożności zwierza, zwrastać też musi i przebiegłość myśliwego. Zwierzyna, którąśmy jednego dnia w pewien sposób podeszli, nazajutrz przy zachowaniu podobnych poprzednim manewrów, spiesznie uchodzi. Zwierzęta i ptaki gromadnie żyjące trudniej podejść jak pojedyńcze, bo w ostatnim wypadku mamy do omylenia czujność jednego tylko indywiduum, podczas gdy w pierwszym razie każda jednostka stanowi straż i stado alarmuje. Czynią tak kozice, świstaki, kaczki, dropie, wrony i w ogóle wszystkie gromadnie żyjące zwierzęta. Wiadomo, że zwierzyna posiada instynkt, który pozwala jej odróżniać nieprzyjaciół. Wszak każdy myśliwy uważać musiał, że n. p. sarny i lisy zupełnie prawie nie obawiają się pastuchów i bydła, że kaczki twardo dosiadują, lubo w bezpośredniej bliskości odbywają się roboty polne, lecz niech kto czarno ubrany, zwłaszcza ze strzelbą w ręku, pokaże się w pobliżu, natychmiast znika ta ufność, naprózno starałby się przybliżyć. Twierdzą nawet, że zwierzyna zna dokładnie fizyognomię swego prześladowcy, o czem miałem sposobność niejednokrotnie się przekonać. Mieszkam nad rzeką, która w czasie wylewów tworzy perjodyczne stawy, rojące się podczas wysokiego stanu wody kaczkami. Wiedząc z doświadczenia, że zwierzyna nie boi się pastuchów i bydła, ubrałem się w wieśniaczy kaftan i kapelusz i idąc za koniem lub krową udało mi się kilkakrotnie ubić kaczkę, lecz po kilku dniach zwierzyna stała się tak ostrożną, że ledwie ukazałem się chociaż przebrany, kaczki natychmiast ulatywały, podczas gdy ich zachowanie wobec prawdziwych wieśniaków pozostało niezmiennem. Ten sam fakt skonstatowałem na wronach, które tak dobrze umiały mnie odróżniać od innych osób, że nawet wtedy gdym był bez broni, z wrzaskiem ulatywały. Zauważałem, że należy także unikać wpatrywania się w podchodzone zwierzę, niewiem czy to blask oczów ludzkich, czy też inna jaka przyczyna, lecz przekonałem się z własnego doświadczenia, że wystarczy ze znacznej nawet odległości skierować wzrok na zwierzę, by je zmusić do ucieczki. Przekonałem się o tem na wronach, gołębiach, drapieżnych ptakach i t. d., które podchodziłem udając wieśniaka zajętego jakąś polną robotą; dopókim zachowywał się obojętnie, ptaki nie zdawały się mną zajmować, lecz gdy kilkakrotnie na nie spojrzałem, chcąc się dowiedzieć, gdzie się znajdują, natychmiast ulatywały. Niejednokrotnie przy wzmiance o polowaniu na upatrzonego spotykałem się z pogardliwym uśmiechem, nieraz słyszałem, jak nazwano je polowaniem kłusowniczem i t. d. Nie będę wdawał się w polemikę, lecz ośmielę się twierdzić, że jest ono najpiękniejszem, pełnem uroku polowaniem. Polowania z pogonką, czy z ogarami, chartami lub wyżłem, wszystkie płoszą zwierzynę, polowanie zaś na podchodnego ukazuje nam przyrodę w jej działaniu, jest ono polowaniem badacza i daje pole studyowania natury i podziwiania mądrych urządzeń Stwórcy. Ileż to razy w moich wycieczkach wstrzymywałem się od strzału, chcąc poznać obyczaje ptaka, ileż razy na zielonym kobiercu lasów, lub nad modrym zwierciadłem wód słuchałem w upojeniu owych wielkich koncertów natury, nie mając serca przerwać je śmiorcionośnym wystrzałem. Jakżeż uroczą jest wycieczka łodzią po wielkich stawach, jaki to tam ruch i życie. Nad brzegiem i po kępach przechadzają się poważne czaple i bociany, niby władcy gminu ptasiego, z gęstych zarośli trzciny odzywa się melodyjny spiew trzcinaka, brzmi ponuro głos bąka, po wolnych od zarośli wodnych polankach igrają barwne kaczory krzyżówek i cyranek, ówdzie nadęty perkoz drwiący z myśliwego i śrótu, nurkuje za pożywieniem, wodne jaskółki i rybołówki szybują wdzięcznemi ruchy nad powierzchnią wody, na pochylonej trzcinie siedzi zamyślony zimorodek i czatuje na łup, ze wszystkich stron dochodzą tysiączne głosy. Nagle wszystko milknie, krzyżówki ze swą rodziną chowają się w gąszcze, kaczory przekrzywiwszy główki ku niebu ostro ćwierkają — to jastrząb rybołów zawisł nad stawem upatrując zdobyczy, patrz zwija skrzydła, wyciąga pazury i nagle uderza białemi piersiami we wodę, która się pod nim rozpryskuje. Za chwilę ptak unosi się, trzymając w szponach trzepiącą się rybę. Wnet potem odzywają się pojedyńcze głosy i koncert przerwany ukazaniem się rabusia z nową siłą się rozpoczyna. Masz myśliwcze sposobność do badań, a jeźliś żądny łupu, masz w czem wybierać. Polowanie na łodzi to najpiękniejszy rodzaj polowania na upatrzonego.

Gdy strzał padnie, a kaczka rozpoczyna ostatni taniec po wodzie, cóż to za piękna scena, gdy zraniona w głowę lub pierś, po kilku gwałtownych ruchach następuje bezwładność, lecz gdy zbarczona, pożegnaj się z nią myśliwcze Na czystym stawku strzelałem pewnego dnia do cyranki, zbarczona nurkowała i mimo usilnych poszukiwań nie mogłem jej odnaleść, lubo stawek miał rozległości ledwo jedną czwartą morga i był zupełnie czysty. Jednak nie tylko kaczki posiadają ten dar znikania, kuropatwy i przepiórki, a nawet i postrzelone sarny tak cicho przywarowują, że czasem niepodobna ich odszukać. Pewnego dnia w zimie szedłem wysokopiennym bukowym lasem, który przypierał do gęstego zapustu, nagle z zapustu wyleciał jarząbek i nie spostrzegłszy mnie usiadł na pobliskim buku, strzeliłem do niego, widocznie musiał być zbarczony, bo nie spadł i nie uleciał, lecz po strzale rozciągnął się jak długi na grubej gałęzi i warował zawzięcie może przez pół godziny, dopiero gdym się ukrył w pobliżu, podniósł się i dał mi sposobność do powtórnego tym razem skutecznego strzału.

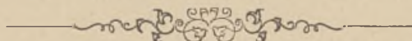
Gdy śniegi zejdą, a las poczyna puszczać pączki, otwiera się nowe pole dla myśliwego. Rozpoczynają się wtedy toki głuszców, jarząbków i cietrzewi. Najpiękniejszem jest polowanie na głuszce. Wyobraźmy sobie zbity gąszcz leśny, w którym gdzieniegdzie wysterczają stare nasienniki Z pierwszym brzaskiem wiosennego poranka rozpoczyna głuszec swoją pieśń. Z jakąż to ostrożnością trzeba się starać przybliżyć. Ptak spiewa, więc ruszasz po trzeszczących gałęziach jeden, dwa, trzy kroki naprzód, już nogę podniosłeś i pochyliłeś się do czwartego kroku, wtem ptak urywa, stójże teraz w tej niewygodnej pozycyi i czekaj nowego spiewu. Wreszcie poczyna pieśń, więc dalej w ten sam sposób ku niemu, w końcu przychodzisz już blisko, słyszysz gwałtowne ruchy i szelest skrzydeł, lecz przy niepewnem świetle nie możesz go dostrzedz, wtem jakiś ruch niewyraźny ściąga twe oczy ku koronie pobliskiej sosny, spostrzegasz jakieś niepewne kształty. To chwila najrozkoszniejsza po męczarni całego polowania, nie jesteś pewnym, czy to rzeczywiście głuszec, serce bije ci w piersi jak młotem, boisz się strzelać na niepewne, a dłuższe czekanie naraża na bolesny zawód, bo ptak może przenieść się na inne oddalone drzewo; wtem łoskot słyszysz w gałęziach sosny, czy to ptak ulatuje? nie, ciężki ptak spuścił się tylko na niższe konary i siedzi piersiami ku tobie zwrócony w całej swej okazałości, wspaniały sułtan leśnych serajów. Zwolna myśliwcze, choćby strzelba paliła ci ręce, pozwól ochłonąć wzruszeniu, wyczekaj nowego spiewu. Oto już głuszec nadyma się, wyciąga szyję, przymyka oczy, roztacza ogon i skrzydła i z głębi piersi wysyła ów właściwy, dla ucha myśliwego tak przyjemny spiew. Teraz, teraz pora do strzału, rozlega się wśród głuchej ciszy grom śmierci i potężny ptak spada walcząc ze śmiercią. Cóż to za chwila rozkoszy dla myśliwgo, o kilkadziesiąt kroków słyszy odgłos konwulsyjnych ruchów walczącego ze śmiercią głuszca, radby jak najrychlej widzieć swoją ofiarę, lecz przez gąszcze nie tak łatwo przedrzeć się można, wreszcie dotarł do celu, widzi na mchu pod sosną ślady krwi gdzież ptak, wyobraźmy sobie rozpacz myśliwego, wszakżeż słyszał, jak spadał, jak walczył ze śmiercią, krew dowodzi, że nie był chybionym, myśliwy w rozpaczy niemal, rozgląda się w około, nie chce wierzyć rzeczywistości i z gorączkową troskliwością rozpoczyna poszukiwania, w tem jakiś szmer cichy zwraca jego uwagę, o radości! głuszec ostatnim wysiłkiem zawlókł się do pobliskiego krzaka, gdzie przywarował jednocząc się z gruntem leśnym swą barwą, w tej chwili w ostatniem konwulsyjnem naprężeniu muszkułów roztacza ogon, który jednak wnet opada, poczem następuje bezwładność śmierci. Tryumf myśliwego napróżno starałbym się opisać. Lecz nie zawsze kończy się polowanie z tak pomyślnym skutkiem, nieraz zbarczony głuszec ratuje się pieszą ucieczką, a biegus z niego znakomity, lub też tak cicho przywaruje, że niepodobna go odszukać.

Na Podolu, gdzie liczne stada dropi ponętnej dostarczają zdobyczy, polują na nie w ten sposób: Myśliwi ujrzawszy stado dropi, ukrywają się w pobliżu, z przeciwnej zaś strony wysyłają pogonkę, która nie płosząc zbytecznie ptaków zmusza je do przybliżenia się ku myśliwym, a ci ubijają je albo w chwili gdy się dostatecznie przybliżą, lub też, gdy lecąc nisko przeciągają. Inny sposób polega na tem, że jeden z myśliwych krocząc przed ptakami zajmuje ich uwagę, drugi zaś stara się ku nim z tyłu przybliżyć.

Przyjemnym także rodzajem polowania jest podjeżdżanie zwierzyny. W ten sposób poluje się zwykle w zimie, gdy na białem tle śniegu widoczną jest z dala zwierzyna. Do podjeżdżania używa się zwykle chłopskich sanek, aby nie obudzić w zwierzynie czujności. Sanki mkną około zająca coraz bliżej, biedny szarak nie spodziewając się podstępu siedzi w kotlinie, póki śmiercionośny strzał nie przerwie mu drzemki. Kuropatwy dają się podjeżdżać na kilkanaście kroków, a że w zimie gęsto siadają, można jednym strzałem kilka sztuk ubić. Lecz z lisem trudniejsza sprawa, mykita frant kuty na wszystkie nogi, zwykle wcześnie zdradę spostrzeże i spieszną salwuje się rejteradą. Podjeżdżać można także z dobrym skutkiem błąkające się w zimie pary sarnie.

Wymieniłem tu kilka tylko sposobów polowania na upatrzonego, wyliczyć wszystkie byłoby niepodobieństwem, bo polowanie takie, to prawdziwa wojna ze zwierzyną, kończąca się nieraz tragicznie dla myśliwych, jak tego dowodem alpejskie polowania na kozice, to wojna, wymagająca doświadczonego wodza i mądrych strategicznych planów, to gra w szachy, w której tysiące kombinacyi, doświadczony gracz wybiera je i do okoliczności stosuje. Nie dziw więc, że polowanie takie pobudza namiętność więcej, niż każde inne i zyskuje zapalonych zwolenników. Takie polowanie trudno nazwać kłusownictwem lub rzezią zwierzyny. Tu myśliwy musi sobie sam wystarczyć i nieraz ma sposobność do okazania, iż jest prawdziwym mężem czynu. Jest to polowanie dzikie, jednoczące nas choćby na chwilę tylko z przyrodą i dozwalające zajrzeć w jej tajniki. Komu za duszno w dzisiejszej cywilizowanej epoce, niech wziąwszy strzelbę odda się temu życiu na łonie przyrody, niech odetchnie balsamiczną wonią lasów, z dala od więzów cywilizcyi, niech idzie za radą wieszcza:

W góry, w lasy, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię!



TANAS.

GAWĘDA MYŚLIWSKA

PRZEZ

Aleksandra Ubysza.

Był praźnik w Uhnowie. Co zacz ten Uhnów? Miasteczko, nawet sławne — z kiełbas, znanych dawniej Lwowianom na jarmarku świętojurskim, i z chłopskiego obuwia. Wyrobem jednych i drugich trudnili się niegdyś wszyscy sławetni mieszczanie Uhnowa, więc było ono siedzibą szewców, jeżdżących po całym kraju z swymi wyrobami. Praźniki, jak wiadomo, niepoślednią odgrywają rolę u naszego ludu, a gdy jeszcze cerkiew jaka posiada obraz cudowny, to ciągnie chłopstwo tłumnie i z daleka do niego, a za niem dziady z najodleglejszych nawet stron. Przed laty bawiąc jakiś czas w sąsiedztwie owego miasteczka, pociągnąłem i ja głównie w celu widzenia typów ludowych i dziadowskich, w istocie często nader oryginalnych i ciekawych. Cecha charakterystyczna praźnika znana czytelnikowi dokładnie Gwar tysiąca przybyłych pielgrzymów, głośne targi przekupniów z różnym towarem, a najgłośniejsze apostrofy dziadowskie do „praciwnyczkiw", t. j. chłopów i ich pobożne spiewy z akompaniamentem liry. Zanurzywszy się w owe tłumy rozpocząłem lustracyę żebraków, siedzących rzędem około cerkiewnego parkanu. Praca to była mozolna i nie bardzo wdzięczna, bo śród setki skomlących dziadowskich głosów ledwie jeden żywiej uderzył w moje ucho, niby trąba Jerychońska, z potężnej piersi wydobytą pieśnią: „Światyj Nykołaju, wełykij czudotworcze!" Kto był w pobliżu, drgnął całem ciałem, nawet dziady zamilkły, jak rzegocące żaby na odgłos gromu. Usłyszawszy ów gromki głos pobiegłem, aby ujrzeć pieśniarza z tak piorunującym basem. U samych niemal wrót, wiodących na dziedziniec czyli cmentarz cerkiewny, siedział żebrak, ubrany ubogo, lecz w nader czystą „mandynę" (strój wierzchni z grubego białego płótna, wschodnim tatarskim krojem uszyty). Biała po pas broda, białe długie włosy spływały mu na ramiona, twarz mocno ogorzała dziwnie odbijała od białego stroju i jak śnieg białych włosów brody i głowy. Słusznym ani zbyt barczystym nie był, jednakowo po szerokiej piersi i żylastem, wysuszonem ciele poznałeś, że kiedyś przed laty musiał to być silny człek. Był ciemny zupełnie. Słuchałem śpiewu zapatrzony w niego, a gdy wreszcie skończył, wetknąłem mu w rękę jałmużnę. Dziad dotknąwszy z lekka mej ręki rzekł: „Bih zapłat' panyczu." Zdziwiło mnie mocno, iż ręka moja wcale nie paniczowska wskazała mu, że nie jestem chłopem. Wdałem się z nim w rozmowę. Dziad zapytał: „A z widky wy?" — „Z O." odpowiadam. — „Aha! to syn staroho U., szcze raz Bih zapłat', wybaczajte, nema czasu na besidu, koły indy." Odstąpiłem rozglądając się, od kogo by dostać o dziadu języka. Piątaczek (dawna srebrna moneta 5 kr. m. k.) ułatwił mi pozyskanie wiadomości, kim i czem był. Nazywał się Tanas, za młodych lat był myśliwym, pełniąc funkcyę dojeżdżacza u podkomorzego lub jak go niektórzy nazywali łowczego Romanowskiego, właściciela Rzeczyckiego klucza, do którego też należało miasteczko Uhnów.

Pozwoli łaskawy czytelnik, że przerwę nawiązany wątek i opowiem nieco o podkomorzym Romanowskim, nadto to bowiem typowa postać, by ją pominąć można. Ś. p. mój ojciec, dobry i zapalony myśliwy, sąsiadując z Romanowskim, bardzo często brał udział w pańskich, przez niego urządzanych łowach. Ja kilkuletniem będąc dzieckiem poznałem go we Lwowie starcem już podówczas, kaleką. Dla kuracyi zjechał do Lwowa i zamieszkał w jednem skrzydle pałacu niegdyś hr. Komorowskich, obecnie Ulanieckich. Z opowiadań ojca mego wiem, co następuje: Romanowski pochodził z Królestwa Polskiego. W młodości, jak w ogóle młodzież bogata, przebywał w Warszawie, mając wstęp otwarty na dwór króla Stanisława Poniatowskiego. Po ostatnim rozbiorze Polski przybył do Galicyi i nabył dobra Delatyn, gdzie od dawna były źródła słone, a nawet istniała prywatna warzelnia soli tak jak w Kormanicach w ziemi Przemyskiej, własności niegdyś Podoskich a później i obecnie hr. Borkowskich. Warzelnie te z rozkazu rządu zniszczono, a źródła czyli studnie zasypano. Rząd austryacki po objęciu Galicyi wprowadzając monopol solny, nabył od Romanowskiego sposobem zamiany dobra Delatyn i dał mu za nie Rzeczycę, *cum attinentiis*. Interes był świetny, Delatyn prócz soli był majątkiem górskim z lichą, owsianą glebą, gdy przeciwnie Rzeczyca posiadała pszeniczną ziemię, łąki i ogromne dębowe i sosnowe lasy, które później syn podkomorzego, dziś już nieżyjący Franciszek, zniszczył prawie do szczętu. Romanowski przyjechawszy w Żółkiewskie dworno i zasobno, kazał się tytułować podkomorzym. Skąd się to podkomorstwo wzięło, nikt ściślej nie badał, może dostało mu się tak jak wszystkie drążkowe dygnitarstwa za Stanisława Augusta. Romanowski swoje podkomorstwo kazał uważać jako wielką ze swojej strony skromność, utrzymywał bowiem, że w prostej linii pochodzi od carów rossyjskich Romanowych, więc spokrewniony z obecnymi panującymi Rossyi. Jako dowód przedkładał szczerozłotą, starożytną pieczęć dużych rozmiarów z herbami Romanowych. Pierwszą żoną jego była Rzyszczewska, panna z dygnitarskiego i bardzo zamożnego domu. Romanowski był dumny i srogi dla sług, niemniej też dla żony, lecz „trafiła kosa na kamień". Rzyszczewska ponoś jedynaczka, excentryczka, bo i dzikich dosiadała bachmatów i łowami się bawiła w kniei i w polu z chartami, nie dała się wziąć w ryzy panu mężowi. Po kilku utarczkach, w walnej bitwie nabitym pistoletem zabezpieczając nietykalność swojej osoby, śród ciemnej nocy z wyprawnym swoim dworem opuściła dom mężowski, udając się do rodziców, skąd postarała się o rozwód, odstępując mężowi znaczną część swego posagu. Drugą żoną Romanowskiego była Makomaska, z której urodził się syn Franciszek, sławny utracyusz. Podkomorzy był typem panka z czasów porozbiorowych. Jadł, pił, polował, zapraszając zamożną i ubogą szlachtę. Z ostatniej z całym przeszłowiecznym cynizmem, którym nasiąkł na dworze Stanisława Augusta, drwił, starych rozpijał, rozłajdaczał młodych. Polowania odbywały się po pańsku, z liczną psiarną, sieciami i dojeżdżaczami. Dzień poświęcano polowaniu, a wieczory i noce całe najobrzydliwszym orgiom. Niejedna uboga szlachecka rodzina zawdzięcza Rzeczycy swój moralny upadek, a w następstwie ruinę majątkową. Szklanka, karta były na porządku dziennym, a raczej nocnym, gdyż za dnia od Września do Marca polowano. Młodzież z całego niemal kraju zjeżdżała się tłumnie do Rzeczycy, lecz najbardziej demoralizowali się bliżsi sąsiedzi. Dom, a raczej

piekło Rzeczyckie zawsze było otwarte, gospodarz popularny iście jak szatan kusiciel, pragnący uprzejmością zwabić jak najwięcej ofiar. Lecz rzućmy zasłonę na ten straszny obraz. Romanowski pod względem łowiectwa, nawet w owym czasie, nie wiele miał do siebie podobnych. Ogromną psiarnię stanowiły różne gatunki psów, drążkowe na grubego zwierza, ogary, jamniki, wyżły, charty. Pod sieci szło kilkadziesiąt wozów. Stadninę miał piękną półpolskiej rasy koni, jedną miały tylko wadę, były złośliwe. Były raczej dwa stada, jedno koni szlachetnych w Rzeczycy, drugie roboczych, pociągowych pod wozy i służbę w Karowie. Służby licznej używano nie do robót gospodarczych, gdyż na to była pańszczyzna. Wszyscy służyli jako lokaje, stangreci, myśliwi, psiarczyki lub stadniczowie. Dla służby i poddanych był podkomorzy srogim, ale według fantazyi byle za co karał srodze, lub nagradzał po pańsku. Niedowierzającym i podejrzliwym był dla wszystkich, nie wyjmując żony i syna, bezwzględnie ufał tylko Ilkowi. Ilko był *factotum* Romanowskiego, prosty chłop, nieumiejący ani czytać ani pisać. Obdarzał go bezwzględnem zaufaniem jakoteż częstymi tuzami, gdy bowiem był w złym humorze, a zdarzało się to często, otaczający domownicy doświadczali siły pięści pańskiej. Ilko dniem i nocą nie odstępował swego pana, stał nieustannie za fotelem, zwłaszcza w ostatnich dziesięciu latach życia Romanowskiego. Kiedy Ilko spał, niewiadomo, to pewne, że zawsze jak cień stał za fotelem pańskim. Gdy pan zadrzymał, chrapnął też Ilko, ale sen starego podagrzysty był krótki, urywany, więc gdy zbudziwszy się ujrzał Ilka śpiącego w postawie stojącej, budził go uderzeniem silnem w czoło gałką ze słoniowej kości trzcinowej laski, zgryźliwie wołając: „A spisz szelmo!“ Ilko był wszystkiem, mimo licznej zgrai oficyalistów i służby, pełnił służbę kamerdynera, skarbnika, wszystkie pieniądze, mnogie kosztowności, srebra stołowe, bogate w kosztowne napoje piwnice były pod jego kluczem. Mimo tych usług i zaufania pańskiego nie różnił się Ilko niczem od innych mieszkańców sioła, mówił tylko po rusku, latem ubierał się wdługą koszulę, krajką w pasie przewiązaną, od wczesnej wiosny do późnej jesieni chodził boso, na zimę wdziewał chodaki czyli postoły, sporządzone z lipowego łyka. Mniejsza, że takim był w Rzeczycy, bo do tego przywykli już domownicy i goście nawidzający dwór Romanowskiego, ale w takim stroju odbywał też podróże do Lwowa, a nawet kilka razy do Wiednia Odbywały się podróże takim trybem. Dniem naprzód wyprawiano wóz ładowny z przyborami kuchennymi, akcessoryami spiżarnianemi i kucharzem, bo na noclegu w miasteczku Rawie, na popasie w Żółkwi, podczas pobytu we Lwowie, własny kucharz sporządzał obiady i wieczerze. Nazajutrz około południa wyjeżdżał Romanowski ogromnym, staroświeckim powozem, który ciągnęły zaprzężone w poręcz cztery klacze izabelowatej maści, 16 miary, pełnej rasy i wybornie dobrane. Jechał też Ilko, siedział na koźle, a że małego był wzrostu, więc bose jego pięty bujały sobie swobodnie w powietrzu. Oprócz zwykłej mandyny głowę jego jak równie i pana pokrywał duży, domowej roboty kapelusz, pleciony przez wiejskich chłopców z żytnich „strzałek“ t. j. źdźbeł przedwcześnie dojrzałego żyta, które podryte przez „turkucie“, zwane przez lud „medwedykami“, schnie, a raczej bieleje, wcale nie dając plonu, ale zato nader trwałą słomę do wyplatania kapeluszów. Około r. 1828 wybrał się był Romanowski za jakimś interesem do Wiednia. Obyczajem ówczesnej szlachty zamożnej odbył tę podróż własnemi końmi i powozem, prócz kilku dworzan nie brakło też Ilka, który nie zmienil swego zwykłego stroju, a że to było w lecie, więc w śnieżnej białości, długiej koszuli, przepasanej krajką i na bosaki, usadowiony na wysokim koźle, zjawił się w samo południe wraz z swym panem w murach Wiednia Można sobie wyobrazić efekt, jaki uczynił na Wiedeńczykach. Przechodzący z najżywszą ciekawością przyglądali się temu niezwykłemu zjawisku. Dowcipy i domysły sypały się obficie, jedni mianowali go chińczykiem, drudzy indyaninem, słowem sądzono go przeróżnie, a nikt nie odgadł prawdy. Nawet po wtoczeniu się całej kawalkady, składającej się oprócz powozu z dwóch bryk brodzkich, pokrytych płótnem, po zanurzeniu się jej w ogromnych sieniach hotelu „Zur rothen Kugel“, długo jeszcze gawiedź uliczna zalegała ulicę, pragnąc jeszcze ujrzeć „diesen wunderlichen Menschen“. Dodam jeszcze, że Ilko oprócz małego wzrostu odznaczał się jeszcze nadzwyczajną chudością ciała, olbrzymią łysiną, odrobiną siwych włosów i twarzą dziwnie pomarszczoną. Na łowy z gończymi lub z chartami nie towarzyszył swemu panu, chyba gdy polowano na lisy lub borsuki z jamnikami, które lisy w jamach dusiły, lub gdy z pomocą tych jamników borsuki a nawet lisy z nor wygrzebywano. Najczęściej urządzał Romanowski takie łowy dla pań, gdy do jego żony w gościnę przybyły. W kilka, a czasem kilkanaście karyolek i bryczek wyjeżdżało całe towarzystwo w las aż do nor lisich lub borsuczych, przy których rozstawiano polowe krzesła i stoły, a na tych zastawiano podwieczorek. Bawiono się, fetowano, a jamniki wpuszczane do nor dusiły i wyciągały lisy, wypłoszone zaś ubijali goście ze strzelb. Czasem dla zaspokojenia ciekawości pań rozkopywano nory i chwytano zwierzęta w kleszcze. Romanowski był wielkim lubownikiem polowania z jamnikami, urządzał je z wszelkiemi wygodami. Stawiano mu jego ulubiony fotel, asystował też Ilko pełniąc funkcyę cibukczego, co chwila napełniał lulkę, podawał ją swemu panu i zapalał tlejącem pruchnem lub żarzącym węglem. Pewnej jesieni urządził Romanowski polowanie z jamnikami. Towarzystwo było liczne. Było to polowanie niezwykłe, bo podłowczy Kazimirz pod strasznem zaklęciem „bodajem się wściekł“ zapewniał, że w norach znajduje się siedm lisów, a nawet „krzywołapka“ lis, stary wyga, mistrz w wykradaniu się myśliwym i ogarom w kniei, w wykpiwaniu się najlepszym chartom w polu. Próżne były usiłowania ułowienia go, frant krzywołapka zawsze wszystkich wyprowadzał w pole. Stary Kazimirz, wybornie także wabiący wilki, poznał trop jego na śniegu niby łańcuszkowaty, idący ku norom. Przed laty postrzelono owego lisa w przednią łapę, wylizał się, ale łapa pozostała krzywą, stąd jego epitet, a nadto pozostawiała ślad odrębny. Było to już w późnej jesieni, śnieg niewielki zalegał ziemię, całe towarzystwo zasiadło przy norach na krzesłach, pod któremi rozścielono skóry dzicze i niedźwiedzie, a nadto rozniecono sute ognisko. Romanowski kazał w główną norę, gdzie miał się znajdować krzywołapka, „podprawić“ (wpuścić) ulubioną swoją, arcydoskonałą jamniczkę Mrówkę, która posiadała przywilej sypiania w pokoju na niedźwiedziej skórze, rozścielonej u łoża pańskiego. Po niedługim czasie odezwała się w norze Mrówka. Głos ten to przybliżał się, to cichł w dali. Przez półtory godziny słychać było tłumienie się jamnicy z lisem, wreszcie ucichło, ale Mrówka się nie ukazywała. Podprawić drugiego jamnika w sukurs Mrówce nie chciał Romanowski, aby nie popsuć sławy swojej jamnicy wobec całego grona obecnych, zresztą wpuszczanie drugiego jamnika było niebezpiecznem, mógłby on bowiem utrudnić, a nawet niemożebnym uczynić odwrót pierwszemu. Szczekanie w norze ucichło, ale dało się słyszeć wyraźne charczenie jakby duszącej się lub duszonej ofiary. Romanowski jako wytrawny myśliwy był pewnym, że

*

lisy *viribus unitis* opadły Mrówkę i dławią ją, lub że ona między korzeniami drzew uwięzła i dusi się śród nich. Nawoływanie w norę, trąbienie, a nawet strzelanie ślepym nabojem były bezskuteczne, charczenie i szamotanie trwało ciągle w jednem miejscu. Postanowiono kopać, kilku ludzi rzuciło się skwapliwie do roboty, ale na to za wiele trzeba było czasu. Romanowski mocno zafrasowany zawołał: „Konia z rzędem temu, kto mi sukę uratuje". Nadbiega psiarczyk mego ojca zwany Smyk od popędu do kradzieży. Chłopiec to był nie wielki, zwinny jak wąż, czego dawał dowody włażąc przez kraty do spiżarni, gdzie jak kot łasował po garnkach i faskach. „Ja jeju dobudu" rzekł i rozebrawszy się do koszuli jak gad zniknął w wnętrzu nory. Po kwadransie niemal słychać bylo jakiś szmer w wnętrzu nory, i wkrótce spostrzeżono stopy Smyka, pochwycono je i wyciągnięto Smyka z zadniemi łapami Mrówki w rękach, zszczepionej paszczą w paszczę z lisem. Radość i tryumf Romanowskiego były nie do opisania. Mrówce rozważono pysk, a lisowi dopiero po zabiciu jego. Był nim istotnie krzywołapka, ogromny i stary lisiura, nie dziw więc, że choć cięta ale niewielka jamnica nie mogła mu dać rady, Smyk nie dostał wprawdzie konia z rzędem, lecz 30 dukatów w złocie, co mu jednak na złe wyszło, bo uciekł ze służby, pieniądze przehulał, poczem jako wyborny myśliwy z chartami znalazł umieszczenie u Romanowskiego, ale rygor mu nie smakował, uciekł powtórnie, kradł konie, dostał się do kryminału, wreszcie wieść o nim zaginęła.

Polowania urządzane przez Romanowskiego miały rozgłos nietylko w okolicy, ale w całym kraju, urządzano je z wielkim aparatem i znajomością łowiectwa. Najchętniej polował na dziki i wilki. W owych czasach w całem Bełzkiem, a osobliwie w okolicach Rawy ruskiej, Uhnowa, Rzeczycy, Mostów wielkich, Karowa aż ku granicom Polski kongresowej i daleko jeszcze po za kresami galicyjskimi ciągnęły się ogromne dębowe i sosnowe bory, mnóstwo tam było zwierzyny łownej, sarn i zajęcy nie wiele, ale dzików i wilków liczne stada. Obławy i wielkie polowania urządzane na te szkodniki stanowiły istotną zasługę Romanowskiego, mnóstwo bowiem wilków i dzików padało corocznie. Tyle z opowiadań mego ojca.

Ślepy Tanas znaleziony na prażniku Uhnowskim nie wyszedł mi z pamięci, odszukałem go, a wiedząc, iż był w usługach łowieckich u Romanowskiego, wyciągnąłem z niego wiele ciekawych wiadomości o nim i jego łowiectwie, z jego opowiadań powtórzę niektóre zajmujące szczegóły. Schodziłem się zwykle z Tanasem w lesie sosnowym, w jednej polowie należącym do Woronowa, w drugiej do Ostobuża, między dwoma granicznymi kopcami przy krzyżowej drodze. Tam to opowiadał mi ów ociemniały Nemrod epizody z swego burzliwego życia, jakoteż niektóre zdarzenia z życia Romanowskich. Tanas urodził się w górach stryjskich, rodzice jego bardzo biedni oddali go na naukę żebrakom — dziadom. Od małego chłopca był ślepcom prowodyrem. Jak sam opowiadał, chleb to bardzo gorzki, osobliwie gdy dziad, któremu służył za przewodnika, był złośliwego usposobienia. Pewnego roku przybył Romanowski w góry stryjskie w okolice Mizunia w celu polowania na niedźwiedzie. Tu przytaczam własne słowa Tanasa: Miałem wtedy lat około 15, szedłem właśnie z ślepym, starym żebrakiem, droga wiodła przez las, aż tu słyszymy gdzieś daleko w kniei gonią ogary zaciekle. Padło strzałów kilkanaście, wtem w pobliżu nas przemykają cztery niedźwiedzie, dwoje starych, dwoje młodych. Ostatnie były jeszcze niewielkie, posuwały się o kilka kroków w tyle za staremi, które spłoszone głosami psów i strzałami co tchu pomykały, nie troszcząc się o swoje potomstwo. Widząc piastuny z unużenia ledwie się wlokące za staremi, porzucam dziada, pędzę za nimi i chwytam jednego za zadnie nogi. Ugryzł mnie, szamotał się, ale starczyło mi sił do przytrzymania. Pomyślałem sobie, że myśliwi chętnie kupią odemnie żywego piastuna, więc z całej siły począłem ich ku sobie nawoływać, a głos mój był z dziecka tak donośnym, że nazwano mnie Horłacz (gardłacz), którem przezwiskiem dotąd się piszę. Nadbiegli wreszcie, a między nimi mój późniejszy pan, Romanowski. Skoro mnie zobaczył trzymającego piastuna, dał mi sorokowca (dawna srebrna moneta 20 kr. m. k.) i rzekł: „A to ty zuch góralu, chodź do mnie na służbę" i dodał zwracając się do innych panów: „Byłby dobry z niego dojeżdżacz, bo smukły, silny i ma głos, jakiego jeszcze w życiu nie słyszałem". Z radością przyjąłem służbę, bo mi się myśliwi podobali, i poszedłem zaraz z nimi w las ku obozowisku. Na środku wielkiej polany rozpięto dwa duże namioty, jeden dla panów, drugi dla służby, przy ogromnem ognisku warzono jedzenie, wozów, koni, psów było mnóstwo. Żal mi było dziada, żem go porzucił samego wśród lasu, nie długo jednak było tego żalu, w gwarze łowieckim zapomniałem o ślepcu. Mój nowy pan całe dwa tygodnie polował jeszcze w tych lasach. Świtem wyruszano do lasu, a późno wieczorem wracano do obozu, a czasem aż nocą. Zabito wtedy mnóstwo zwierzyny, a niedźwiedzi sześć. Pewnego ranka myśliwi już nie szli do lasu, spakowano rzeczy, posworowano psy, mnie kazano siąść na wóz, na którym w dużej klatce umieszczono piastuna i ruszyliśmy do Rzeczycy. Przez rok prawie doglądałem niedźwiedzia, później byłem kotłowym, t. j. warzyłem osypkę dla psów i pełniłem różne drobne posługi, przyczem myśliwi i psiarczyki nie mało mnie naszturkali.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Z nad Wisłoki. Luty 1884.

Skończył się karnawał myśliwski, z żalem zapewne każdy go żegnał myśliwy, z nastaniem więc postu, zawiesiwszy strzelbę na kołku na dłuższy odpoczynek, pragnę podzielić się z szanownymi czytelnikami „Łowca" wiadomościami z naszych stron. A piękne te strony nasze. Wzrok myśliwego biegnąc po żyznych równiach, przeciętych Wisłoką i kilku mniejszemi rzeczkami, spoczywa w końcu na pagórkach, przedgórzach Karpat, porośniętych lasami bukowymi i jodłowymi, przerzniętych licznymi strumykami, które poszarpawszy ziemię w rozmaitych kierunkach utworzyły mnóstwo szkarp i parowów, pysznych ostoi dla zwierzyny. I chciałby przebić tajemniczą tę zasłonę i podpatrzeć, jakie to tam życie i ruch panują, gdyż sądząc z położenia, mnogość zwierza znajdować się tu powinna. Lepiej jednak, że tej siły wzrok nie posiada, bo przykrego doznałby rozczarowania. Głucho tam i pusto. Tylko liść suchy na krzakach i drzewach szeleści, i to na młodych drzewach, gdyż starszyzna leśna, dzięki dobrym czasom, albo w kształcie sągów w świat wywędrowała, dopomagając niejednemu Moszkowi dobić się tytułu dziedzica, albo też dziedzic na własny

rachunek zrobiwszy ją w gatrach tartaku bardziej „transportsfähig“, uczynił z niej mamonę, by ją następnie również za granicę wytransportować. Największą przestrzeń w tych stronach zajmują lasy państwa Dębickiego. Niedawne jeszcze czasy, gdy na polowaniach w lasach do tegoż państwa należących gęste padały strzały, a myśliwy po całodziennym znoju, cieszył się widokiem ubitych kilku rogaczy i lisów, kilkudziesięciu zajęcy. Jaki obecnie stan zwierzyny w tych lasach, najwymowniejszym dowodem, iż w tym roku na polowaniu w jednym rewirze 1200 morgów liczącym, ubito 3 zające i 4 lisy, w drugim 900 morgowym 2 zające, 2 lisy, 1 rogacza. w innych rewirach rezultat był podobny powyższym. Do tego opłakanego stanu przyczyniło się przedewszystkiem wydzierżawienie dawniej we własnej administracyi prowadzonych dóbr wraz z prawem polowania na polach, do dzierżawy należących. Obecnie każdy niemal z pp. dzierżawców tępi bezmyślnie zwierzynę na swoim obszarze już to sam, już udzielając pozwolenia polowania pierwszemu lepszemu, kto o to prosi, albo wreszcie co jest najgorszem, pozwala swemu ekonomowi, polowym i t. p. włóczyć się ze strzelbą po polach lub pod las na wychodnego. Ten ostatni sposób tępienia zwierzyny praktykuje się najczęściej niestety u pełnomocnika tychże dóbr, dzierżawiącego zarazem 4 folwarki, p. P., o czem tenże może i nie wie, chociaż przez wydanie rozkazu na wykarczowanie kilku remiz, na polach przez ojca dzisiejczego właściciela założonych, dostatecznie okazał, jak mało mu na ochronie zwierzyny zależy. A przecież te remizy na otwartych polach były jedynem schroniskiem dla kuropatw i zajęcy. Śmiesznem się wyda, jeżeli dodam, iż w parku w Zawadzie, rezydencyi właściciela tych dóbr (który zresztą tam nigdy nie rezyduje, mieszkając stale za granicą), utrzymają jelenie i daniele, a zwierzynę, której ochrona nic by nie kosztowała, bezlitośnie tępią. Chlubny wyjątek stanowi dzierżawca p. J. S. z B., który ile możności zwierzynę ochrania. Zły przykład z góry idący jest bardzo zaraźliwy. Chłop kłusownik widząc, że nikt o ochronę zwierzyny się nie troszczy, tem śmielej na wychodnego bije co przyjdzie pod lufę, a ile tam kóz i zajęcy do roku padnie, to św. Hubert tylko raczy wiedzieć, bo straż lasowa o tem wiedzie nie chce, jeźli już sama kłusownikom nie pomaga w tym rozbójniczem rzemiośle. Do ciebie panie pełnomocniku w interesie łowiectwa krajowego apelujemy, wszak wzorowo uporządkowałeś całą administracyę tych dóbr i usunąłeś wiele nadużyć, dlaczegoż więc tylko biedna zwierzyna ma być prześladowaną a nie ochranianą, gdzież znajdzie ochronę i spokój, jeźli nie na tak znacznych obszarach. Nakaż ją podwładnym twoim organom lasowym, a zwierzostan w krótkim czasie wróci do dawnej świetności.

W mniejszych majątkach w okolicy, właściciele po większej części również bezwzględnie tępią zwierzynę, zwłaszcza sarny wybijaniem kóz. To też na uznanie zasługują starania hr. R. z D. i pp. K. z L. i P. z S., u których stan zwierzyny stosunkowo do obszaru świetnym nazwać by można. Ubiegły rok z powodu spóźnionej wiosny i nieustannych w lecie deszczów fatalnym był, zwłaszcza dla kuropatw i zajęcy. Pierwszy rzut zajęcy w marcu prawie zupełnie wyginął, kuropatwy rzadko gdzie się wylęgły. Widziałem stare kuropatwy parami cieknące na początku Lipca. Motylicy u sarn ani zajęcy nie było, gdyż wynioślejsze położenie lasów dostarcza żeru względnie zdrowego nawet w mokre lata. *T.*

Suwałki (Król. Pols.).

Wiele o nosaciznie pisano i mówiono, używano różnych lekarstw wewnętrznych i zewnętrznych, przewłoki, apertury, nalewania na powierzchnię nosa smoły i t. p., ale to wszystko niewiele się przydawało. Mnie w czasie 50-letniego zawodu myśliwskiego prawie połowa psów wyginęła na nosaciznę, zasięgałem rudy weterynarzy, starych doświadczonych myśliwych, każdy coś doradził, ale mało to albo wcale nie pomagało. Śmiało można twierdzić, że najmniej jedna czwarta część psów ginie na nosaciznę. dziwna bo też to choroba, jedne psy przechorują ją z największą łatwością, inne chorują ciężko i wyzdrowieją, większa zaś liczba ginie, a gdy który wytrzyma krizis, to będzie sparaliżowany lub dotknięty innem jakiem nieuleczalnem kalectwem. Ubiegający wiek XIX., tak obfity w rozmaite odkrycia i zdumiewające wynalazki, w tak małej na pozór drobnostce, jaką jest nosacizna, dotąd na krok nie postąpił od przyjętych dawnych zasad leczenia. Należałoby głównie zwrócić uwagę na to, dlaczego niektóre psy niepostrzeżenie tę chorobę przebywają, kiedy inne marnie giną. Jest to rzecz ważna, warto nad nią się zastanowić i przebieg tej choroby ściśle badać. Ale tu jednostki nie poradzą, niech wszyscy myśliwi, mianowicie ci, którym zdarzyło się leczyć psy dotknięte nosacizną, podają do kroniki „Łowca“ opis przebiegu tej choroby i środki, jakimi tę straszną chorobę leczyli. Znałem sławnego myśliwego ś. p. Janowicza, ten mówił mi, że mu wiele psów wyginęło na nosaciznę, nim mu ktoś doradził, aby co dwa tygodnie dawał psu na przeczyszczenie. odtąd żaden pies nie zginął mu na nosaciznę. W tym celu używał dwóch grudek aloesu wielkości grochu cukrowego, zawiniętych w płatek słoniny i wpychał psu głęboko w gardło, aby nie mógł wyrzucić. Środka tego próbowałem na dwóch psach, ale skradziono mi je, więc nie wiem, co się z nimi później stało. Od dawnych lat obserwowałem tę chorobę, więc spostrzeżenia moje poddaję pod sąd ogółu.

Przed kilkudziesięciu laty dostałem szczeniaka, ale do jakiej rasy należał, trudno było odgadnąć, jakiś mięszaniec kundysa, legawca i gończego, wszystkiego było potrosze, miał już cztery miesiące, kiedy pierwsze rozpoczęły się ciągi dubeltów. Na miesiąc przedtem wyprowadzałem go w pole na odległe spacery, aby przyuczać do biegania i szukania, wszyscy myśliwi upominali, aby tak młodego pieska nie wyprowadzać na polowanie twierdząc, że może dostać ochwatu w nogach, dychawicy, albo stracić wiatr i paść na nosaciznę. Wierzyłem temu, ale nie wiele mi na tem piesku zależało, bo był nieokazały i mało obiecujący, więc nie mając innego, z nim przetrząsałem bagna. Po kilku takich lekcyach piesek mój poczał wystawiać dubelty, później kuropatwy, i stawał do nich jak stary. Żadna choroba go nie nawidzała, był silny i zdrów. w drugiem polu był zupełnie wydresowany, karny, wiatr miał donośny do zadziwienia, a nosaciznę przebył bardzo lekko. Odtąd przestałem wierzyć w te strachy. W późniejszym czasie miałem trzy pieski i suczkę, które dresowałem w tymże wieku, ani jeden z nich nie padł na nosaciznę lub na inną chorobę, wszystkie te psy były karne i wiatr miały donośny, ale skradziono mi je, więc nie mogłem obserwować, co się z nimi w późniejszym wieku stało. Przed laty kilku p. Żukowski, sąsiad mój, dostał suczynę rasy „Pointer“ z gatunku zupełnie małych tak, iż gdy rozpoczęło się polowanie na kuropatwy i miała wtedy zaledwie cztery miesiące, to nie wiele była większa od dużego szczura, wynosił ją na ręku aż do miejsca, gdzie rozpoczynał polowanie. Suczka ta doskonale stawała do kuropatw. Oparty na własnem doświadczeniu ośmielam się twierdzić stanowczo, że psy w młodym wieku dresowane są lepsze, jak w późniejszym, to też spotkawszy się w późnej jesieni z panem Z. pierwszem mojem było zapytaniem, co się stało z su

czyną. Zapewnił mnie, że jest zupełnie zdrową, że nosaciznę bardzo lekko przechorowała i że w tej jesieni zabił przed nią 74 kuropatw. We dwa lata później na wiosnę b. r. dowiedziałem się od p. Żukowskiego, że z wielką rozkoszą poluje z tą suczką. Syn mój dostał w r. b. na wiosnę pieska rasy „Pointer". Miał on cztery miesiące, kiedy rozpoczął się ciąg dubeltów, wyprowadzał go często i zabił przed nim kilka dubeltów, teraz wystawia kuropatwy, jak stary wytrawny pies, jest dotąd silny i zdrów, wiatr ma doskonały. Nie miałem odwagi wystąpić z tem mojem twierdzeniem tem bardziej, iż, jak mi się zdawało, sam jeden musiałbym walczyć z licznymi przeciwnikami, ale ośmielił mnie w tym względzie artykuł p. Zapolskiego, umieszczony w nr. 6 „Łowca" r. b, w którym tenże stanowczo i śmiało wygłosił tę niezaprzeczoną prawdę, że psy w czwartym lub piątym miesiącu życia swego dresowane, są lepsze, jak w wieku późniejszym, następnie, że psy takie są karne, mają więcej siły i wiatr nadzwyczajnie donośny, wreszcie że niełatwo podlegają chorobom, a szczególnie nosaciznie. Spotkam się może z zarzutem, że gdy piesek jest wyszczeniony w Lipcu lub Sierpniu, to nim dojdzie wieku miesięcy czterech lub pięciu, polowanie już się kończy, więc chyba go układać po grudzie i śniegu. Odpowiem na to, że do takich psów nie stosuję mojej zasady i wcale nie twierdzę, iżby psy w późniejszym wieku umiejętnie układane nie mogły być dobrymi, szczególnie suki jako łagodniejsze z natury. Weźmy przykład z lisów, jako blisko spokrewnionych z psami domowymi. Matka karmi szczenięta 6 do 8 tygodni, poczem wyprowadza je na pobliskie łowy, a później dalej. Zdarzyło mi się nieraz zabić w owsie lub na łąkach lisiurkę zaledwie trzymiesięcznego samoistnie już polującego. Posiadałem pieska dresowanego bardzo wcześnie, miał już lat trzy, kiedy nagle zachorował, byłem przekonany, że to mała dolegliwość W tym czasie wypadło mi wyjechać na kilka dni z domu, powróciwszy dowiaduję się od domowników, że pies jest bardzo chory, o czem przekonałem się naocznie. Dałem mu dwie grudki aloesu, w pół godziny znowu powtórzyłem, a gdy po upływie trzech godzin żadnego skutku nie było, zdecydowałem się dać mu na wymioty. Po zadaniu lekarstwa pies począł mocno ślinić i pienić, a w kwadrans później porwały go wymioty. Po niejakim czasie wyszedł z niego kawał massy czarnej jak węgiel, twardej jak kamień, za nim chlusnęło wody żółto-zielonej więcej jak kwarta, powtórzyło się to trzy razy, poczem ułożył się na swym sienniku w kuchni, rano już żarł trochę, a wieczorem wszystko co mu się nawinęło. W kilka dni pies zupełnie wyzdrowiał, widocznie było to silne zatkanie żołądka. Gdybym był nie użył tego środka, byłby pies z pewnością zdechł. Lekarstwo na wymioty przyrządziłem w ten sposób: pół łuta senesu wsypałem do szklanki, zalałem wrzącym ukropem tyle, aby płynu nie więcej było, jak trzy łyżki stołowe, po godzinie, kiedy dobrze naciągnęło, przecedziłem przez szmatkę, do tego płynu dodałem szczyptę emetyku. Emetyk musi być dobrze roztarty, a jeżeli na spodzie zostanie osad, rozcierać go dotąd, dopokąd zupełnie nie zniknie. Lekarstwo to trzeba psu wlać w gardło mocno wstrząsając, aby go nie wykrztusił. W razie zadawnionej choroby, lekarstwo to już nie skutkuje.

J. Swirski.

KRONIKA.

Wpisali się w poczet członków Towarzystwa łowieckiego:

Błażyński Aleksander.
Kleski Józef.
Morawski Maksymilian.
Rosinkiewicz Tadeusz.

Na pomnik Adama Mickiewicza złożył na ręce redakcyi „Łowca" Piotr Ejsymont z Suwałk (Król. Polskie) 2 ruble sr., które przesłaliśmy Komitetowi Krakowskiemu.

Niższo-austryackie Towarzystwo uwiadamia Prezydyum galic. Towarzystwa łowieckiego pismem z dnia 10. Lutego b. r., że Ministeryum rolnictwa w skutek wniesionego podania wszystkich Towarzystw łowieckich przedlitawskich, objawia żywe interesowanie się przyszłym kongresem myśliwskim, wzywa do przedłożenia mu sprawozdania z obrad i uchwał tegoż kongresu i przyrzeka zwrócić baczną uwagę na rezultaty obrad, jako cenny materyał objaśniający wszelkie do reformy prawodawstwa łowieckiego odnoszące się kwestye. Równocześnie zawiadamia c. k. Ministeryum rolnictwa, iż w skutek załączonej prośby zbiorowej Towarzystw łowieckich, aby wszelkie zmiany, dotyczące prawodawstwa łowieckiego, odroczono aż do przedłożenia rezultatu obrad kongresu, ile możności uwzględniono i że Ministeryum starać się będzie następnie do tej prośby zastosować. — W końcu prosi Ministeryum o oznaczenie terminu kongresu i o rychłe nadesłanie programu obrad. Komitet gorliwie pracuje nad ułożeniem tego programu i sądzi, iż kongres prawdopodobnie w drugiej połowie Kwietnia będzie zwołany, zresztą nastąpi jeszcze bliższe w tym względzie porozumienie.

Podpisano: *Colloredo-Mannsfeld.*

Z Lisowic.

Przesyłając sprawozdanie z polowań lisowickich, zawiadamiamy czytelników, że w roku myśliwskim 1883/4 ubiliśmy w. 18 dniach w 8 do 9 strzelb: 1 niedźwiedzia, 1 rysia, 27 dzików, 31 rogaczy, 57 zajęcy, 37 lisów, 3 kuny tumaki, 25 jarząbków, 5 słonek, 15 sów uralskich, 1 jastrzębia gołębiarza. Prócz tego widziano na jesiennem polowaniu żbika i wydrę przemykającą przed nagonką. Rzecz godna uwagi, że w tej stronie lasów, w której wydrę zastano, na znacznej przestrzeni w około nie ma ani stawów, ani żadnych wód, któreby jej bytność tam usprawiedliwiały. Wynik tego polowania tak świetny, mogący iść w zawody z najsłynniejszemi kniejami w kraju i za granicą, byłby był jeszcze o wiele piękniejszy, gdyby zima tegoroczna, biorąc w ochronę mieszkańców lasu, nie była tak skąpiła śniegu. W rewirach naszych dolnych śnieg w Styczniu prawie zupełnie znikł, w górach zaś tając za dnia, a zmrożony wichrami nocnymi, potworzył lodowce, nieprzystępne ani dla myśliwych, ani dla obławy, dziki były przeto prawie zawsze nietropione, wielkiej tylko ich ilości można zawdzięczyć, żeśmy tyle z nich ubili, ile zaś poszło postrzelonych i farbujących na pastwę lisów i wilków, o tem wobec czarnej stopy i wspominać nie potrzeba. Wilków 10 wałęsało się po naszych rewirach, lecz z powodu braku ponowy nie spotkaliśmy się z nimi, widzieliśmy tylko często ich tropy wyciśnięte na znikającym śniegu i szczątki krwawych ich biesiad. Sarny instynktem wiedzione opuściły nawet ulubione swe knieje, chroniąc się w lasy przez tych gości nie nawidzane. Oprócz zabitego rysia drugi przebił się przez nagonkę i uszedł w głębokie góry, niedźwiedzi zaś prócz zabitego w jesieni widywano trzy, zanim się do snu w gawrach ułożyły, jest przeto nadzieja, że w przyszłym roku poszczycimy się podobnym łupem. Jeśli w tym roku mimo tak bardzo niekorzystnych warunków atmosferycznych, mimo obecności wilków i rysiów knieja nasza taki rezultat nam dała, zawdzięczamy to przedewszystkiem skutecznej i sprężystej opiece pana starosty Barańskiego, niemniej komendantowi oddziału żandarmeryi panu porucznikowi Piechowskiemu, którzy stojąc na straży ustaw łowieckich i wspierając nasze usiłowania, oddają nam znakomitą przysługę i podnoszą tem samem zwierzostan w kraju. Niech nam będzie wolno na tem miejscu złożyć im najszczersze podziękowania w imieniu naszego grona.

Polowałem przez tydzień w prześlicznych lasach Łopatyńskich u hr. Kaźmirza Młodeckiego. Pogoda nie sprzyjała myśliwym, bo oprócz pierwszych dwóch dni ponowy, następne były z deszczem i wiatrem. Stan zwierzyny od dziesięciu lat ogromnie się podniósł, bo w Rohiznie dawniej podczas całodniowego polowania widziano ledwie trzy sarny, teraz w każdym miocie one były, a pod samą lesniczówką naliczono w jednem stadzie 27 sztuk. Strzelców było 12, a mioty duże bo na 20tu. Pan nadleśniczy Wospiel bardzo dobrze prowadził polowanie. Zabito w ciągu ośmiu dni 5 dzików, 6 rogaczy, 8 lisów i 74 zajęcy. Dodać należy, że leśniczowie przepuszczali rogacze i zające, a i sam właściciel do rogaczy nie strzelał, ubił zaś dwa odyńce. Do samury także niewolno było strzelać, między pięciu sztukami jedna tylko zginęła i to wypadkiem, bo była samá w miocie, a potem dopiero pokazał się odyniec. Rzadki to wypadek, że do pięciu sztuk strzelano i tyleż zabito. Największego odyńca zabił p. nadleśniczy, ważył on 583 funtów i omal nie był sprawcą smutnego wypadku, bo po dwóch trafnych strzałach kulą w komorę, wychodzi on na strzelca, który do niego na sztych śrótem strzela, a że tu była łączka z małemi karłowatemi brzózkami, więc odyniec szarżuje na młodego człowieka, ale był mocno postrzelony i trafił na strzelca z nadzwyczajnym charakterem w nogach, który w mgnieniu oka przebiegł polanę, a gdy już był przy grubszym drzewie, dzik ścigający uderzył na niego, przewrócił, pomknął dalej paręset kroków i padł bez życia. Młody człowiek oprócz strachu nie doznał żadnego uszkodzenia. Zatem nietylko przed psami odyniec szarżuje, więc lepiej na sztych nie strzelać, zresztą strzał w komorę jest pewniejszy. Rozkosznie miły pobyt nasz w Łopatynie skończył się 1. Lutego i gdyby nam była pogoda sprzyjała, to trzy razy tyle zginęłoby zwierzyny, zwłaszcza że większa połowa miotów była nietkniętą. Razem padły 93 sztuki na 286 strzałów. Najtwardszą zwierzyną na tem polowaniu były zające, bo rzadko który padł na miejscu i najczęściej nagonka musiała je łapać.

Marceli hr. Tyszkiewicz.

Kliszów, 31. Stycznia.

Jak pobłażliwie traktowane bywają przez dotyczące władze sprawy odnoszące się do ochrony zwierzyny, wykażą dwa następujące fakta:

1. Znany kłusownik Maciej Szott z Rzemienia, niszczący zwierzynę w każdym czasie w całej zamieszkałej przez siebie okolicy, urządzał sobie polowania tak ostrożnie, że na kłusownictwie z bronią w ręku schwytanym być nie mógł; powiodło się nareszcie żandarmowi wyśledzić, gdzie broń ukrywa, zabrał tę broń i złożył c. k. Starostwu w Mielcu, a Starostwo konfiskatę broni zatwierdziło, ponieważ pozwolenia na broń nie posiadał. Maciej Szott wniósł rekurs do Namiestnictwa, Namiestnictwo zniosło orzeczenie Starostwa i zabraną broń kazało oddać, motywując tem, że nie został schwytanym na kłusownictwie, a do posiadania broni w domu nie jest wymagane pozwolenie. Maciej Szott odebrawszy broń, drwi sobie z ustaw o ochronie zwierzyny, poluje sprytnie i ostrożnie i jak tępił przedtem zwierzynę, tak tępi teraz i nadal tępić obiecuje.

2. Na obszarze polowania należącym do pana C. T., kłusownik Jamroży z Młodochowa strzelił do zająca i zabił. Pracujący niedaleko ludzie pana C. T. puścili się w pogoń za kłusownikiem, który widząc że może być dognanym, rzucił zająca, a ulżywszy sobie ciężaru, spieszniej uciekać zaczął. Goniący zaprzestali dalszego ścigania, wzięli zająca, przynieśli do dworu i panu C. T. oddali. Pan C. T. zaskarżył Jamrożego do sądu powiatowego w Mielcu, sąd przesłuchał świadków, którzy widzieli, jak Jamroży zabił zająca i odebrali mu go i na podstawie tego zawyrokował, że Jamroży ukaranym być nie może, bo zabitego przez siebie zająca nie zabrał, lecz takowy przez ludzi dworskich zabrany mu został.

Nie przytaczam więcej podobnych zdarzeń, bo sądzę, że te dwa fakta wystarczają. Z uwagi zaś, że taka pobłażliwość zamiast ukrócać zapędy kłusowników, dodaje im jeszcze odwagi i bardzo smutne w zwierzostanie sprowadza skutki, upraszam gorąco o umieszczenie tych dwóch faktów w „Łowcu". Wpływ, jaki artykuły „Łowca" w wysokich kołach wywierają, przyczynić się może skutecznie do tego, że zamiast ochrony kłusowników, doczekamy się ochrony zierzyny.

Al. Artwiński.

Na mocy uchwały Wydziału Towarzystwa łowieckiego, powziętej na ostatniem posiedzeniu, uprasza Redakcya szanownych korespondentów „Łowca", iżby raczyli przesyłać jéj spostrzeżenia swoje i doświadczenia, odnoszące się do hodowania i karmienia zwierzyny. Potrzebę i znaczenie takich ogłoszeń uznają niezawodnie nasi myśliwi i chętnie zechcą się przysłużyć dobru powszechnemu.

Na polowaniu, odbytem w majątku Poturzyckim, powiecie Sokalskim, Ekso. hr. Włodzimirza Dzieduszyckiego, w dniach 21, 22, 23 i 28 Stycznia ubito: dzików 20, rogaczy 16, zajęcy 96, lisów 7. Strzałów padło 501. Strzelano też do dwóch wilków. Stan zwierzyny, prócz dzików, w ogóle mniej pomyślny jak w latach poprzednich. Rezultat polowania byłby o wiele pomyślniejszym, gdyby odwilż i deszcz nie utrudniły przystępu do niektórych kniei. Liczni jak zwykle uczestnicy polowania, zawdzięczają dostojnemu gospodarzowi prawdziwą myśliwską przyjemność.

Rzemień (pow. Mielecki) 7. Lutego.

Przez cały sezon polowania aż do 1. Lutego b. r. zabito w Rzemieniu zwierzyny pożytecznej: dzików 5, rogaczy 27, zajęcy 276, kuropatw 314, przepiórek 72, jarząbków 9, kaczek 12, kszyków i dubeltów 142, chruścieli 47, słonek 75; szkodliwej: wydr 3, kun 5, lisów 28, nadto psów 33, kotów 17, jastrzębi 17, wron i srok 125. Stan zajęcy w okolicy znacznie w tym roku się zmniejszył, zapewne z powodu szkodliwych wpływów klimatycznych. Śmiało twierdzić można, że okolica straciła najmniej połowę zajęcy. Między sarnami również znaczny okazał się ubytek z powodu motylicy, jednak mniejszy jak w rodzie zajęczym. Lubo w okolicy rozlegają się lasy przeważnie szpilkowe, więc nieponętne dla dzików, wszelako gościły one w nich w znacznej ilości od lat kilku tak, że uważać je można już za miejscowe. Cóż tedy mogło je przyciągać do lasów niemających ani buczyny, ani dębiny. Po ścisłem zbadaniu rzeczy doszedłem do przekonania, że żywią się one tam truflami leśnemi, których w owych borach jest mnóstwo, a utwierdziłem się w tem przekonaniu, gdym spostrzegł, że po silnem zamarznięciu bagnisk w lasach wynoszą się z nich dziki i wracają podczas odwilży, gdy swobodniej ziemię ryć mogą.

Zdzisław z Zięblic Bogusz.

Z Pokucia.

Czas polowań na ten rok skończony, z żalem więc biorę pióro do ręki, by zdać sprawę z polowań w naszej okolicy. Dnia 5. Grudnia polowano w Dąbkach u p. M. Romaszkana. Padły 2 kozły, 1 lis, 14 zajęcy. Dnia 21. Grudnia polowano u p. A. Abrahamowicza w Targowicy na przestrzeni 64 morgów łoziny, ubito w 18 strzelb: 10 lisów i 97 zajęcy. Sądzę, że żadna knieja tak świetnym rezultatem się nie poszczyci. Dnia 29. Grudnia polowano w Piadykach u kniazia Romana Puzyny, ubito w 6 strzelb: 1 lisa, 1 kozła i 20 zajęcy; sarn było widzianych około 30 sztuk. Piadyki dopiero od trzech lat są w posiadaniu p. Puzyny, a stan zwierzyny ogromnie się podniósł; dawniej polowałem tam kika razy, ale literalnie nie było można spotkać ani jednego zająca, a o sarnach już ani mowy. Dnia 3. Stycznia polowano w Gwoździcu u kniazia R. Puzyny i ubito w 17 strzelb: 1 lisa i 85 zajęcy. Dnia 14. i 15. Stycznia polowano u br. Jakóba Romaszkana w Potoczyskach i ubito w 14 strzelb: 3 dziki, 5 kozłów, 1 lisa, 58 zajęcy i 1 puhacza. Dnia 17. i 18. Stycznia polowano w Zaleszczykach u br. Seweryna Brunickiego i ubito w 14 strzelb: 8 kozłów, 1 lisa i 77 zajęcy. Dnia 30. Grudnia połowano w Kamionkach u p. Kohna; o rezultacie donieść nie mogę, gdyż tam nie byłem, ale wieści mnie dochodziły, że padło kilka sarn.

L. C.

Ze Stryjskiego.

W dniach 21., 22. i 23. Stycznia odbyło się polowanie w Daszowie, majętności pani Felicyi Sozańskiej. W 12 strzelb ubito 10 dzików, 13 rogaczy, 18 zajęcy, 3 lisy i 2 jarząbki. Strzelano do 19 dzików, 27 rogaczy, 11 lisów, 23 zajęcy. Zajęcy mogło paść znacznie większa ilość, nie wszyscy jednak myśliwi strzelali do nich, mając na względzie zbliżającą się porę szanowania tej zwierzyny. Szczęśliwy ten rezultat polowania i w ogóle świetny stan zwierzyny w rewirach Daszowskich jest głównie zasługą p. Kaczorowskiego, leśniczego i pełnomocnika pani Sozańskiej, którego znajomość rzeczy, sprężystość i ład w prowadzeniu polowania mogły rzeczywiście w podziw wprowadzić niejednego z obecnych, a znalazły całe uznanie nawet u najwytrawniejszych myśliwych. O kłusownictwie tu nie słychać, straż bowiem i służba leśna jest tak doborową, w takim porządku i rygorze trzymaną, że żaden kłusownik nie śmiałby ani nogą stanąć na granicy rewirów Daszowskich.

A. D.

Rozwadów nad Sanem.

Polowano tu przez 4 dni, jeden dzień na ptactwo, a trzy dni na lisy i kozły. Dzików teraz nie ma, wyszły do ordynacyi. W pierwszym dniu w 7 miotach zabito: głuszca 1, głuszca mniejszego 1, cietrzewi 5, jarząbków 16, żbika 1, lisów 2, razem sztuk 26. Strzałów padło 102, myśliwych było 12. W trzech dniach następnych zajmowano 31 miotów

z podwójną obławą po 40 ludzi. Ubito: wilków 5, odyńca 1, lisów 71 (była padlina w lesie), rogaczy 64, głuszca 1, jarząbków 8, razem sztuk 150. Do zajęcy nie strzelano wcale. Prócz zabitych wilków dwa postrzelono i znaleziono je w Sanie utopione. Złapano 3 wydry na żelaza. Odyniec skaleczył śmiertelnie dwóch ludzi. Strzałów padło 486. Polowanie prowadził Głowata, forstrat ks. Schwarzenberga. Polowano od 11 do 4 godziny. Na polowaniu był siostrzeniec Hurki, ale Polak.

K. D.

Przesiedlenie polskiego sandacza do dorzecza Renu. Sandacz, *lucioperca sandra*, poławia się na północy i wschodzie, ale w wodach zachodniej Europy nie znajduje się wcale. Od roku 1880 czyniłem usiłowania w celu przyswojenia sandacza w stawie. Osiągnięte przezemnie rezultaty ogłoszone były w Okólniku Towarzystwa rybackiego nr. III. r. 1883, w „Gazecie Lwowskiej“, w „Łowcu“, w „Rolniku“, w „Circular des deutschen Fischereivereins“, w „Deutsche i baierische Fischereizeitung“, w „Mittheilungen des öster. Fischereivereins“ etc. Obecnie podaję do publicznej wiadomości w dziejach rybactwa doniosły fakt przesiedlenia polskiego sandacza do Menu-Renu i jeziora Bodniskiego. W celu przekonania się, ażali sandacze taki daleki transport zniosą, urządziłem w Grudniu 1882 r. dwie przesyłki próbne, do Berneuchen do pana Max v. d. Borne i do Würzburga do Towarzystwa rybackiego miejscowego. Próby się powiodły, a zachęcone niemi Tow. ryb. niemieckie zamówiło u mnie 200 kóp narybku sandacza. Niestety w zimie 1882/3 z braku doświadczenia znaczna część sandaczy u mnie przepadła i tylko 50 kóp odstąpić mogłem do Niemiec. Transport wysłany został w Marcu, ale na domiar złego nie powiódł się. bo znaczna część narybku wyginęła w czasie podróży. Nieustraszone tem niepowodzeniem Tow. ryb. niemieckie dało się nakłonić do powtórzenia przedsięwzięcia, które uwieńczone zostało świetnem powodzeniem. Szczegółowe sprawozdanie ogłoszono w Cyrkularzu Tow. ryb. niem. nr. I. 1883 r. i z niego wyjmuję autentyczne daty i cyfry. Towarzystwo rybackie niemieckie zamówiło powtórnie u mnie 11.000 sztuk rocznych, a 200 sztuk dwuletnich sandaczy. Transport ten wysłany został 28. Października 1883 z dóbr moich Tomic na Oświęcim, Wrocław, Drezno do Würzburga. Tu podzielono sandacza na kilkadziesiąt partyi. Po potrąceniu uśniętych, wpuszczono jednorocznych do Menu 1689 sztuk, jednorocznych do Renu 3221 sztuk, do jeziora Bodniskiego jednorocznych 4160, dwuletnich 195; w poprzednich transportach doszło jednorocznych 641, razem rozpuszczonych zostało w Niemczech 9906 sztuk. Kwestya przesiedlenia sandacza do wód Zachodu była od dawna poruszaną i zalecaną przez niemieckie powagi, jak v. Siebold, Brehm, Dr. Wittmack. we Francyi przez Ph. Gaucklera. Towarzystwo rybackie niemieckie wyznaczyło w tym celu premię za sztuczne wylęganie sandacza z ikry. Mnie się powiodło nie na sztucznej lecz na naturalnej drodze sandacza na stawie wychować i przy znanej delikatności tej ryby przesłać ją w tak oddalone strony. Wydział Towarzystwa rybackiego niemieckiego przesłał mi z Berlina dziękczynne pismo z dnia 8. Stycznia 1884 za dokonanie upragnionego przez nich dzieła i w zamian ofiarował mi ikrę amerykańskiej ryby łososiowatej (*Salmo fontinalis*), która żyje w wodach zamkniętych.

Aleksander Gostkowski.

„Korespondent Płocki“ z dnia 22. Stycznia b. r. donosi: Na żądanie minist. dóbr państw. celem zapobieżenia gwałtownemu tępieniu zwierzyny, polowania z obławą ulegną ograniczeniu, a mianowicie będą mogły być urządzane tylko dla tępienia drapieżnych i szkodliwych zwierząt, oraz na poważniejsze okazy rogaczy. Urządzanie polowania z obławą celem bezwzględnego wystraszenia wszelkich żyjących stworzeń, nie będzie cierpiane. O każdem polowaniu z obławą winna być zawiadomioną władza powiatowa na 48 godzin naprzód, jakoteż najbliższe zarządy lasów rządowych, a jeżeli miejsce polowania dotyka obcych gruntów, także właściciele lasów sąsiednich.

W Modrzychowie (w Tarnowskiem) ubił hr. Artur Potocki z Krzeszowic śnieżno-białą sarnę (kozę), którą ofiarował Muzeum im. Dzieduszyckich. Okaz to nadzwyczajnie rzadki, mało który zbiór go posiada. Za ten cenny dar składa Muzeum szczere podziękowanie.

Za panowania Zygmunta I. jeden z przodków moich, syn horodniczego Smoleńskiego Maksym Patkiewicz, walcząc przeciw najazdowi Tatarów, ciężko ranny dostał się do niewoli. Zapędzono go w głąb Turcyi, sprzedano do Persyi bogatemu muzułmaninowi, gdzie przebył lat 18, a odszukali go i wykupili z niewoli OO. Trynitarze. Stamtąd prócz innych wiadomości leczniczych, wyniósł on także środek niezawodny przeciw wściekliźnie. Kiedy przed 50 przeszło laty trzeba się było z stron rodzinnych wybierać, dziad mój (ojca już wówczas nie miałem), starzec stokilkoletni, rzekł do mnie: „Abyś był ludziom i sobie pożytecznym, daję ci sposób leczenia wścieklizny, którego ja od wielu lat używałem i nigdy mnie nie zawiódł.“ W roku 1834 osiadłszy w okolicy Jarosławia, używałem powierzonego mi środka przeciw wściekliźnie tak szczęśliwie, że wkrótce znała mnie cała okolica i spieszyła do mnie w razie wypadku z prośbą o pomoc, której udzielałem najchętniej zawsze z pomyślnym skutkiem, jak to stwierdzają załączone autentyczne świadectwa. (Tu daje p. Patkiewicz 10 świadectw, wystawionych bądź przez gminy okolicy Jarosławskiej, bądź przez pojedyncze osoby, zatwierdzone przez naczelnika c. k. Starostwa w Jarosławiu p. Friedberga.)

Przeniósłszy się w okolice Lwowa, mianowicie zadzierżawiwszy folwark miejski Wulkę Kapitańską na Hołosku nadarzyła mi się nieraz sposobność leczenia tak ludzi jakoteż zwierząt, na co przywodzę świadectwa. (Dołączone do pisma.)

W roku 1870 przesiedliłem się w okolice Brodów i Łopatyna. I tu obdarzony zupełnem zaufaniem leczyłem szczęśliwie. (Dołączone liczne świadectwa.)

Moje lekarstwo stanowią małe pastylki, zawierające w sobie bardzo silne zioła. W suchem miejscu przechowywane, nawet po latach dziesięciu nie tracą swej skuteczności. Są one łagodnego smaku, łatwe do używania nawet dla najdelikatniejszych osób. Daje się pokąsanemu człowiekowi lub zwierzęciu trzy pastylki z rana na czczo w odstępach czasu dziesięciominutowych. Trzy takie pastylki zupełnie wystarczają do zabicia jadu. Po zażyciu człowiek czy zwierzę nie może nic jeść ani pić przez trzy godziny, zresztą nie potrzeba dyety zachowywać, ani też zmieniać normalnego trybu życia. Rany należy codzień rano zmywać wodą, w której pokrajana cykuta moknie, poczem obetrzeć je i obłożyć plastrami z maści, przyłączonej do lekarstwa w pudełku.

Antoni Patkiewicz.

P. s. Posyłam dla „Łowca“ artykuł p. Patkiewicza, sądząc, iż tem robię istotną przysługę. Wyleczył mi p. Patkiewicz dwa psy legawe, które były w okropny sposób przez psa wściekłego pokąsane. Hr. Młodeckiemu, u którego p. Patkiewicz był przez lat kilkanaście koniuszym, wyleczył wiele ludzi i zwierząt. P. Patkiewicz daje trzy pastylki dziennie, nie więcej. Jest w nich korzeń pewnego ziela, które jedni gotują w mleku, jak to robi sławny Potapeńko na Ukrainie koło Białejcerkwi, p. Patkiewicz zaś suszy, trze i wyrabia pastylki dla ludzi i dla zwierząt osobne. Trzy pastylki kosztują 1 złr. Poczta Brody.

Marceli hr. Tyszkiewicz.
Kaźmirz Młodecki.

Hr. Józef Potocki polując w Styczniu na Litwie, ubił niedźwiedzicę i dwa piastuny białoszyjki, z których jednego piastuna ofiarował Muzeum im. Dzieduszyckich. Bliższe szczegóły tego ciekawego polowania przyrzekł przesłać Redakcyi „Łowca“.

Jest do nabycia bardzo ładna, z znakomitej pracowni pochodząca Lankastrówka, za cenę bardzo umiarkowaną. Bliższa wiadomość u Sekretarza Towarzystwa łowieckiego.

Na mocy ustawy łowieckiej wolno w Marcu u nas strzelać tylko do słonek, głuszców, cietrzewi, do ptactwa błotnego i wodnego w ogólności.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.